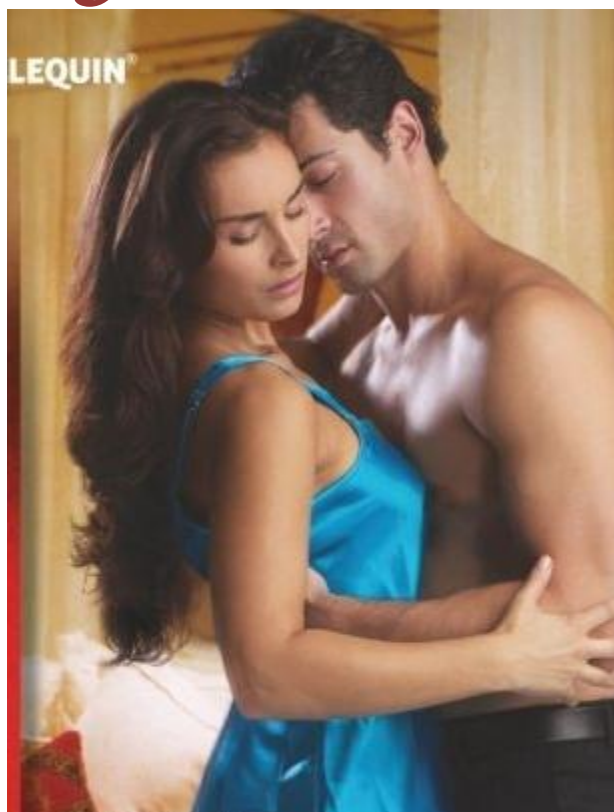




# *Day Leclair*



*Narzeczona  
z piekła rodem*

# PROLOG

- Musisz mi pomóc.

Gdyby te słowa wypowiedziała jakakolwiek inna osoba, Luc Dante przerwałby rozmowę i wyszedł. Jednak nie mógł odmówić swojej ukochanej babci.

- Powiedz tylko, jak.

Jej orzechowe oczy, wciąż piękne mimo upływu lat, pełne były ciepła i pobłażliwej mądrości. Figlarne ogniki świadczyły o niezawodnym poczuciu humoru, tak dla niej charakterystycznym. Zawahała się na chwilę i to wystarczyło, by Luc usłyszał w głowie alarm - zawsze polegał na swojej intuicji i na ogół dobrze na tym wychodził.

- Chodzi o moją przyjaciółkę - przyznała.

- Nonna...

- Daj mi dokończyć, Luciano. - Na swój własny, pełen wdzięku sposób babcia potrafiła być równie despotyczna jak dziadek Primo. Dał więc za wygraną i pozwolił jej kontynuować. - Pamiętasz chyba moją serdeczną przyjaciółkę, Mariettę de Luca? Spędziliśmy kiedyś razem lato. Byłeś wtedy chłopcem. Wszystkie dzieci, nawet jej wnuki, zwracały się do niej Madam.

Trwało chwilę, zanim przypomniał sobie te wakacje, ale potem napłynęły wspomnienia. Letnia posiadłość rodziny Dantów. Jezioro. Rozbrykana gromada dzieci - jego trzech bracia, siostra i czworo kuzynów. I trzy małe dziewczynki - wnuczki Madam de Luki - z bujnymi czarnymi lokami i oczami jak węgielki, które nazywali między sobą trzema wiedźmami.

Była jeszcze czwarta dziewczynka, uświadomił sobie, z ognistorudą czupryną, bardzo jasną cerą i uważnym spojrzeniem. Rzadko się odzywała i sprawiała takie wrażenie, jakby chciała skryć się w cieniu. Na ogół pogrążona była w lekturze. Przezywali ją - niezbyt oryginalnie - Rudzielcem.

W jej towarzystwie czuł się dziwnie, jakby go coś nieustannie łaskotało. Nie potrafił inaczej opisać niepokoju, który go ogarniał, gdy pojawiała się w polu widzenia. Miał ochotę pociągnąć ją za włosy lub dać kuksańca w bok, by go wreszcie dostrzegła. Jednak ona unikała hałaśliwego towarzystwa i znikwała jak duch, gdy tylko się zbliżali. Pojawiała

się w porze posiłków, by posłusznie skubnąć coś z talerza, po czym znowu przepadała nie wiadomo gdzie. Irytowała go, często miał ochotę splatać jej psikusa i chyba by to robił, gdyby nie czujne oko dziadków.

- Pamiętam Madam - odparł Luc, uświadomiwszy sobie, że zamilkł na dłuższą chwilę.

Pamiętał też, że wydawało mu się, iż Madam byłoby świetnym imieniem dla psa, ale miał dość rozsądku, by nie podzielić się tym genialnym pomysłem z dorosłymi. Pani de Luca była wysoką elegancką kobietą o arystokratycznym wyglądzie, obdarzoną pięknymi czarnymi włosami, podobnie jak jej wnuczki. Wystarczyło jedno jej spojrzenie, by rozchukany dzieciak tracił rezon i posłusznie wykonywał polecenia.

- Co u niej słyhać?

- Najstarsza wnuczka, Téa, potrzebuje twojej pomocy przez kilka tygodni.

Bezsukutecznie usiłował dopasować imię do jednej z trzech czarnowłosych dziewczynek, ale dzwonek alarmowy w jego głowie odezwał się znowu, sygnalizując pułapkę, więc skoncentrował się na słowach babci.

- Jaką pomoc masz na myśli? - spytał podejrziwie.

- No cóż... - westchnęła Nonna. - Mówiąc prawdę, potrzebuje ochroniarza.

- Nie! - Piekło i szatani! Luc zerwał się na równe nogi, a przenikliwy ból w kolanie przypomniał mu, że powinien się oszczędzać. - Nie ma mowy!

- Spokojnie, Luciano.

Pokuśtykał do okien sali konferencyjnej w biurowcu rodzinnej firmy. Przed sobą miał widok na San Francisco. Innego dnia podziwiałby panoramę miasta, szczególnie malowniczego w krystalicznie przejrzysty wiosenny poranek, oraz błękit wód zatoki, w których przeglądało się jasne niebo. Nie dzisiaj. Nie w tej chwili, gdy napłynęły najgorsze wspomnienia.

- Wykluczone - rzucił bardziej szorstko, niż zamierzał. - Nawet mnie nie proś. Nie chcę drugi raz przez to przechodzić.

- To nie była twoja wina - zauważyła cicho Nonna.

Odwrócił się na zdrowej nodze, uporczywie powtarzając sobie, że koszmar należy do przeszłości, że upchnął go gdzieś w zakamarkach pamięci. Jednak przed oczami jego

duszy przewijał się w błyskawicznym tempie film. Gwałtowne przyspieszenie, by zgubić prześladowców. Terenowe auto, które wyskoczyło nie wiadomo skąd. Uderzenie, zgrzyt metalu. Dziecko, mój Boże, dziecko! Mąż nie dający oznak życia. Żona w szoku. Jej rozziewający szloch, żalosne prośby. „Chcę umrzeć z nimi! Daj mi umrzeć!”.

Zamknął oczy i z wysiłkiem odgonił wspomnienia.

- Nie mogę, Nonna, nie jestem w stanie.

- Przysięgam, że nie chodzi o pracę tego typu - zapewniła go łagodnie, ze współczuciem, które go zupełnie rozkleiło.

- Nie da się inaczej, jeśli miałbym zapewnić jej profesjonalną ochronę - powiedział.

- Wysłuchaj mnie, *cucciolo mio*. Téa odziedziczy fortunę w dniu swoich dwudziestych piątych urodzin. Jeśli ich dożyje.

- Ktoś chce jej w tym przeszkodzić?

- Nie, nie. O tym nie ma mowy. Sprawa jest dużo prostsza. Téa po prostu ignoruje otoczenie... - Nonna cmoknęła z dezaprobatą i przeszła na włoski. - Ta dziewczyna ma świetną koncentrację, ale, można powiedzieć, jednotorową.

- Nie rozumiem. Jaka właściwie jest? Rozkojarzona czy skoncentrowana? - Luc bez wysiłku zmienił język na włoski, jednak był zdezorientowany i nie ukrywał tego.

- Jedno i drugie. Jest dobrze zorganizowana i skupiona na sprawie, która ją w danym momencie absorbuje. Do tego stopnia, że jest ślepa na wszystko inne. Zaczęła być zagrożeniem dla samej siebie. Można nawet powiedzieć, że jak magnes przyciąga wypadki.

- Zamknijcie ją w bezpiecznym miejscu na... właśnie, na ile?

- Sześć tygodni.

- A więc zamknijcie ją na sześć tygodni.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Po pierwsze, rodzina musiałaby ją poprosić o zgodę, a ona oczywiście odrzuci ten pomysł z oburzeniem. Po drugie, Téa praktycznie utrzymuje rodzinę. Nie może wziąć urlopu na sześć tygodni. Mają problemy finansowe.

- A jak zmieni się ich sytuacja, kiedy... Téa? - Babcia potwierdziła skinieniem głowy, że dobrze zapamiętał imię. - Co się zmieni, gdy Téa skończy dwadzieścia pięć lat?

- W dniu urodzin odziedziczy ogromny majątek, który obecnie jest w zarządzie powierniczym, i stanie się właścicielką firmy zapewniającej byt całej rodzinie. To ich wszystkich zabezpieczy do końca życia. Jeśli nie dożyje, pieniądze trafią w obce ręce.

- Ale ja jestem bardzo zajęty - jęknął.

I rzeczywiście. Jako szef usług kurierskich rodzinnego konsorcjum - Dantes Courier Service - odpowiadał za międzynarodowy transport brylantów, kamieni szlachetnych i biżuterii. Była to praca odpowiedzialna i absorbująca. Zazwyczaj nie miał czasu na prywatne przysługi. Jednak ostatnio okradziono jedną z przesyłek, więc wszelkie wysyłki zostały wstrzymane - przynajmniej do czasu, gdy policja i firma ubezpieczeniowa skończą dochodzenie.

- Nie próbuj się wykręcać - skarciła go Nonna. Luc westchnął.

Czy mu się zdawało, czy pułapka właśnie się zatrzasnęła?

- Pozwól, że sprawdzę, czy cię dobrze rozumiem. Chcesz, żebym się opiekował dziewczyną, która się potyka o własne nogi, do jej dwudziestych piątych urodzin. Żadnego niebezpieczeństwa. Żadnych skrytobójców, przed którymi trzeba ją bronić. Kim właściwie mam być? Niańką?

- Właśnie - uśmiechnęła się z ulgą Nonna. - Téa potrzebuje niańki na najbliższych sześć tygodni, a ja zapewniłam Madam, że jesteś w tej roli niezastąpiony.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Luc rozsiadł się przy niewielkim kawiarnianym stoliku w ogródku modnego lokalu - o ile blisko dwumetrowy, atletyczny mężczyzna może usiąść wygodnie na artystycznie powyginanym krzeselku.

Z trudem powstrzymywał narastającą irytację. Nonna i Madam pograżyły się w ożywionej konwersacji po włosku, gdy wszyscy troje czekali na Tée de Luca, którą Luc w duchu nazywał już pierwszą wiedźmą. Dziewczyna się spóźniała, a on nienawidził bezczynnego czekania. Źle wychowana, egocentryczna dziewczucha. Jakby swoim zachowaniem chciała dać im do zrozumienia: „Jestem pępkiem świata”. Nie znosił próżnych kobiet i unikał ich jak zarazy.

Nerwowo gryzł wykałaczkę. Gdzie ona się do licha podziewa? Nie ma całego dnia, by tu siedzieć i czekać na jej jędzowską mość. Prawda, niewiele ma do roboty w czasie, gdy policja i towarzystwo ubezpieczeniowe próbują wpaść na trop skradzionych brylantów, ale z łatwością znalazłby przyjemniejszy sposób zabicia czasu. Nawet kąpiel w towarzystwie krwiożerczych żarłaczy białych wydawała mu się w tej chwili bardziej atrakcyjna. Odchrząknął i zwrócił się do Madam.

- Gdzie do... - Urwał, gdy babcia spiorunowała go wzrokiem, i przeformułował pytanie. - Czy zechciałaby pani jeszcze raz zadzwonić do Téi, Madam?

- Jesteś gdzieś umówiony, Luciano? - spytała Nonna słodkim tonem, jednak jej oczy ostrzegały, by dobrze się zastanowił, nim odpowie.

- Tak, właśnie - skłamał bez mrugnięcia okiem.

Madam niechętnie podniosła ładną lawendową komórkę, którą traktowała nieufnie, jakby mogła w jej dłoniach eksplodować, i włożyła okulary, zwisające z szyi na gustowym sznureczku z kryształów górskich. Powoli wystukała numer, ale pomyliła się i zaczęła jeszcze raz, marszcząc brwi.

- Możesz po prostu wybrać ostatnie wykonane połączenie - poradziła Nonna.

- Chętnie pomogę - zaoferował Luc.

- Jeśli to nie sprawi ci kłopotu. - Madam podała mu telefon gestem wielkiej damy, z ulgą, że nie musi się zmagać z nowoczesną technologią. - Będę wdzięczna.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Przycisnął spis połączeń wychodzących, jednocześnie bacznie obserwując barwny tłum przechodniów za żelaznym ogrodzeniem ogródka. Nawyk wyniesiony ze służby wojskowej w jednostkach specjalnych okazał się przydatny zarówno we własnej firmie ochroniarskiej, jak i teraz, w agencji usług kurierskich.

Kątem oka zarejestrował zmianę świateł na ruchliwym skrzyżowaniu. Przechodnie na przejściu dla pieszych tuż przy kawiarni przyspieszyli kroku. Wszyscy, poza jedną młodą kobietą, która zatrzymała się na samym środku ulicy i, przytrzymując pod pachą aktówkę, zdjęła z ramienia wypakowaną do granic torbę. Ze środka wyciągnęła trzy telefony.

Luc, tknięty niewyjaśnionym przecuciem, podniósł się z krzesła, wciąż przyciskając do ucha komórkę.

Rudowłosa dziewczyna na przejściu nie zwracała uwagi na migające światło: czytelny sygnał, że zaraz zmieni się na czerwone dla pieszych, a kierowcy wcisną gaz do dechy. Przekładała z ręki do ręki telefony, aż wreszcie wybrała jeden. Luc z daleka dostrzegł charakterystyczny lawendowy kolor.

- Halo? Madam? - usłyszał w słuchawce zdyszany melodyjny głos.

Mglisty niepokój zmienił się w pewność. Niebezpieczeństwo. Czas działać. Rzucił na stolik telefon i jednym susem pokonał niskie ogrodzenie dzielące go od chodnika, pamiętając, by wylądować na zdrowej nodze. Zmusił się do sprintu, choć każdy krok powodował rozdzierający ból w kolanie i biodrze. Światło zmieniło się na czerwone, samochody ruszyły.

Działał jak automat. Żona jego kuzyna Nicolo została potrącona przez taksówkę krótko po tym, jak się poznali. Kierowca zmieniał pasy, by wyprzedzić inny samochód, i nie zwrócił uwagi na przechodzącą kobietę. Kiley doznała urazów głowy, po których przeszłość raz na zawsze znikła w gęstej mgle. Teraz, w szczęśliwym związku z Nicolo i pełna nadziei na przyszłość, zajęta była tworzeniem nowych wspomnień dla nich i dziecka, które już wkrótce miało przyjść na świat.

Luc spostrzegł z przerażeniem, że za chwilę cała historia powtórzy się tuż przed jego nosem. Taksówkarz dodał gazu i zmienił pas, by ominąć samochód dostawczy, któ-

ry zatrzymał się przed sklepem. Kierowca zatrąbił niecierpliwie, zaczął wymyślać dostawcy i najwyraźniej nie zauważył, że na środku jezdni stoi kobieta. Tymczasem rudowłosa, nieświadoma zagrożenia, zajęta była rozmową telefoniczną.

Luc wrzeszczał, próbując zwrócić jej uwagę. Gdyby nie kontuzjowana noga, dopadłby do niej przed taksówką. Kierowca w ostatniej chwili spostrzegł kobietę na jezdni i zaczął hamować z piskiem opon. Nie ma cudów, pomyślał Luc, nie zdążę.

Dosłownie na moment przed potrąceniem dziewczyny samochód zarzuciło na bok o pół metra. To wystarczyło. Luc chwycił ją za ramię i gwałtownie wciągnął na chodnik. Przewrócili się na ziemię. Luc zamortyzował upadek, biorąc na siebie ciężar uderzenia. Kobieta wylądowała na kontuzjowanym biodrze i ból eksplodował w całym jego ciele.

- Cholera!

Kobieta odepchnęła się od jego piersi. Teraz widział wyraźnie bujne rude włosy, białą skórę twarzy i ramion. Na ziemię posypały się papiery z aktówki i trzy telefony. Błękitne oczy ciskały gromy. Na jednym uchu dyndały okulary do czytania.

- Jak mnie pan nazwał?

- Nijak. - Chwycił ją w talii i odsunął na bok, bo przygniatała go do ziemi. Ostrożnie usiadł. Biodro zaprotestowało. Do diabła, chyba niczego nie złamał, ale i tak nie wygląda to dobrze. - Życie pani niemiłe? Ma pani zwyczaj pałętać się po skrzyżowaniach czekając, aż ktoś panią przejedzie? - burknął nieprzyjaźnie i sam się zawstydził, tak agresywnie to zabrzmiało.

Wsadziła okulary na nos. Jeden z drucików łączących szkła był zgięty, więc cała oprawka się przekrzywiła.

- Musiałam odebrać telefon od babci. - I jakby to było wystarczające usprawiedliwienie, zajęła się zbieraniem rozrzuconych rzeczy, aż znalazła swój telefon. - Halo? Madam, coś nam przerwało.

- Téa! Kochanie, nic ci się nie jest?

Głos dochodził nie z telefonu, ale z góry. Madam i Nonna pochylały się nad nimi z troską. Luc ostrożnie wstał, zagryzając wargi przy każdym ruchu. Podał Téi rękę. I wtedy to się stało. Między ich dłońmi przepłynęła iskra, która płomieniem ogarnęła całe jego ciało. Ogień popłynął w żyłach, ogarnął umysł.



Wewnętrzne czujniki oszalały, dzwoniąc i alarmując. Nie był w stanie myśleć racjonalnie, bo ogarnęło go atawistyczne pragnienie, by porwać Tée w ramiona i unieść daleko stąd. Zamknąć się z nią w ustronnym miejscu i kochać do upadłego. Oznajmić całemu światu, że to jego kobieta i tylko on ma do niej prawa.

Sądząc po jej oniemiałym spojrzeniu, musiała odczuć coś podobnego. Zwilżyła językiem uchylone wargi, jakby jej nagle zaschło w gardle. Każda kropla krwi odpłynęła jej z twarzy, a na bladej skórze odcinały się tylko drobniutkie piegi na nosie. Fala potarganych rudych loków spływała na ramiona, tworząc ogniste obramowanie twarzy, na której pojawił się wyraz oszołomienia i niedowierzania. Oderwała wzrok od Luca i skierowała go na splecione dłonie.

- Co to było? - szepnęła.

W głębi duszy wiedział, ale nie chciał w to uwierzyć, a tym bardziej przyznać się do tego głośno. Absurd. Mit rodzinny, sprzeczny nie tylko z wiedzą, ale zdrowym rozsądkiem i zwykłą logiką. On, człowiek racjonalny, nigdy nie dawał mu wiary. Traktowali pobłażliwie opowieści dziadka. Lekceważył pouczenia rodziców. Ignorował zapewnienia kuzynów. Tymczasem zdarzyło mu się to samo, czego oni doświadczyli wcześniej. Dantejskie Piekło. Coś, czego za wszelką cenę pragnął uniknąć.

- To nie istnieje - wychrypiał.

- Herbaty? - Głos Madam podziałał jak prysznic z zimnej wody. - Téo, pytałam, czy nic ci się nie stało.

Dziewczyna odwróciła się do babki.

- Czuję się dobrze - zapewniła. - Zostałam brutalnie powalona na ziemię, ale wyszłam z tego cała.

Brutalnie? Luc nie wierzył własnym uszom. Może raczej: wyrwana ze szponów śmierci? Ocalona przez nieznanego? Przez nieszczęsnego połamanego rycerza, który się rzucił pod koła blaszanego potwora, bez żadnej taryfy ulgowej dla sztywnego kolana i ześrubowanego biodra.

Nim zdążył zaprotestować, przechodnie pomogli Tégi pozbierać rozrzucone rzeczy. Porządkowała je metodycznie, wkładając do aktówki i przepastnej torby. Do głosu doszedł rozum, wcześniej zagłuszony przez pożądanie. Luc podał dziewczynie telefony, z

których jeden przyśpiewywał melodyjnie „odbierz mnie, odbierz mnie, odbierz mnie”. Komórka została wyłączona i wylądowała w swojej przegródce w torbie.

Dopiero teraz widać było, ile nerwów kosztowało ich to wydarzenie. Madam była bliska łez, Nonna zasepiła się. Tylko Téa wydawała się nieświadoma, że cudem uniknęła nieszczęścia.

Luca z kolei ogarnęła złość. Wszystkie jego mięśnie dygotały z napięcia, łupało go biodro i kolano. Ignorancja dziewczyny irytowała go, a wcześniejsza niesamowita reakcja na jej dotyk całkowicie wyprowadziła go z równowagi. W dodatku Téa zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

Luc był człowiekiem czynu. Brał sprawy w swoje ręce. Miał niezawodny instynkt, wsparty logicznym umysłem i zdolnością do błyskawicznego podejmowania decyzji, co w przeszłości niejednokrotnie ratowało mu skórę. Teraz ocalił Téę przed kalectwem lub śmiercią, co najwyraźniej jeszcze do niej nie dotarło. Wszystko to podsycalo jego gniew.

Najlepszym remedium zawsze było działanie. Luc zagarnął trzy kobiety, usadowił je przy stoliku i skierował się do kelnera. Zamówił drinki dla pań, a dla siebie ciemne piwo, żałując trochę, że nie może popić środków przeciwbólowych szklaneczką whisky.

- Dzięki Bogu, że byłeś na miejscu i uratowałeś Téę, inaczej ten szalony taksówkarz by ją rozjechał - dziękowała mu Madam.

- Gdyby pani wnuczka rozglądała się na boki i nie odbierała telefonu podczas przechodzenia przez jezdnię, nic takiego by się nie wydarzyło - odparł, mierząc Téę surowym wzrokiem.

- Babcia mówi, że to ty do mnie zadzwoniłeś. Wnioskuje więc, że to wszystko twoja wina.

- Moja wina? - wrzasnął głosem, którym skutecznie gromił swoich podwładnych, gdy któryś z nich nieodwracalnie spieprzył sprawę. Kelner z tacą pełną drinków stanął jak wryty. - Czy to moja wina, że nie zwracasz uwagi na światła?

- Gdybyś nie zadzwonił...

- Gdybyś się nie spóźniła...

- ...nie musiałabym odbierać telefonu na przejściu dla pieszych.

- ...nie musiałbym w ogóle do ciebie dzwonić i prosić bardzo.

Zmierzył wzrokiem kelnera, ruchem głowy polecił mu, by postawił przyniesione napoje. Tamten szybko zebrał zamówienia i oddalił się w popłochu.

- Proszę bardzo? - powtórzyła Téa.

Zamrugnęła gwałtownie, szkła okularów jeszcze powiększały jej oczy. Podniosła oprawkę na czubek głowy i nagle uśmiechnęła się promiennie, co zupełnie przeistoczyło jej twarz. Wcześniej była ładna, teraz stała się oszałamiająca.

Zalała go fala pożądania. Miał ochotę, niczym neandertalczyk, zarzucić ją sobie na ramię i uciec ze zdobyczą. Podniósł do ust piwo i pił je łapczywie, by ugasić wewnętrzną pożogę, ale płomienie buchnęły jeszcze silniej. Siedział jak na szpilkach i myślał tylko o jednym. Muszą się z Téą urwać z tego idiotycznego spotkania i znaleźć sam na sam, a wtedy znajdzie sposób, by ją przekonać, że cokolwiek się między nimi dzieje, powinno się dopełnić w akcie seksualnym. I to nie jednym, ale powtarzanym wielokrotnie, aż oboje opadną z sił. Może wtedy ogień pożądania przygaśnie i do głosu dojdzie rozum.

- Przepraszam - rzekła tymczasem Téa. - Czy możemy zacząć od nowa? Dziękuję za to, że mnie wyciągnąłeś spod kół samochodu. Przepraszam za spóźnienie. Zapewniam, że miałam istotne powody. Zazwyczaj nie gadam przez komórkę na pasach, ale telefony od Madam odbieram bez zwłoki, zawsze i wszędzie.

Wszystkie argumenty zostały precyzyjnie wypunktowane. W pierwszej chwili uznał ją za osobę roztrzepaną i chaotyczną, teraz jednak musiał zrewidować swą opinię. Nonna miała rację. Téa de Luca jest kobietą, która świetnie funkcjonuje w zorganizowanym chaosie. Potrafi być jednocześnie nieobecna duchem i w pełni skoncentrowana.

- W porządku. - Kiwnął głową.

- Chcę też wyraźnie oświadczyć, że nasze spotkanie uważam za bezcelowe. - Posłała swej babci czuły uśmiech. - Doceniam waszą troskę, ale nie potrzebuję ochroniarza.

- Zabawne - wtrącił Luc. - Zważywszy na to, co się przed chwilą stało, powiedziałbym, że potrzebujesz niańki.

- Każdemu może się zdarzyć. - Téa zbagatelizowała tę uwagę. - Poza tym taksówka by mnie ominęła, tak czy owak.

- Zwariowałaś? - Luc oniemiał ze zdumienia.

Poklepała go po ramieniu, ale gwałtownie cofnęła rękę. Może miało to coś wspólnego z iskrą elektryczną, która przeskoczyła między nimi lub silnym pulsowaniem, które poczuł pod skórą. Ona pewnie też. Z każdym dotykiem, każdym kontaktem fizycznym, cokolwiek między nimi istniało, stawało się coraz silniejsze. Sieć zaciskała się coraz szczelniej. Przyciąganie stawało się intensywniejsze. Z pewną satysfakcją spostrzegł, że Téa potrzebowała kilku chwil, by odzyskać rezon. W tym czasie kelner przyniósł zamówione wcześniej dania. Luca skwapliwie zajął się swoim lunchem.

- Świetnie się spisałeś w roli bohatera, doceniam twój wysiłek - oświadczyła z wymuszoną niefrasobliwością. Skropiła sałatę oliwą i octem winnym. - Przyznaj jednak, że taksówka w ostatniej chwili gwałtownie skręciła.

- Co dało mi dodatkowe ułamki sekund i centymetry, żeby cię wciągnąć na chodnik. Inaczej zderzak rozsmarowałby cię na asfalcie.

- Luciano - mruknęła Nonna.

Spojrzał najpierw na nią, potem na Madam. Obie miały identyczny wyraz twarzy: mieszankę strachu i szoku. Przesadziłem, uznał. Wystarczy im wrażeń na dzisiaj. Delikatnie wziął Madam za rękę.

- Jest bezpieczna, a ja zadbam, żeby tak pozostało.

- Dziękuję. - Starsza pani spojrzała na niego oczami szklącymi się od łez. - Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy.

- Czekaście - przerwała im Téa. - Na nic się jeszcze nie zgodziłam.

Posłał dziewczynie surowe spojrzenie, ale wcale jej nie poskromił. Trochę go to rozbawiło, a trochę sfrustrowało. Niewiele osób miało odwagę, by się mu przeciwstawić. Potrafił wzrokiem zetrzeć w proch niesubordynowanych podwładnych, potwierdziłoby to jego żołnierze i pracownicy. Tymczasem wobec słabej kobiety musiał zastosować manipulację.

- Nie zgodzisz się, choć to uszczęśliwiłoby twoją babcię? - spytał.

- Sprytnie. Bardzo sprytnie - mruknęła.

Teraz ona sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Zgodzisz się, kochanie, prawda? - Prośba Madam zabrzmiała jak polecenie. -  
Wszyscy pocujemy się lepiej. Juliann będzie mogła zająć się przygotowaniami do ślubu,  
Davida skupi się na nauce, a Katrina...

Urwała, najwyraźniej niepewna, jak skończyć.

- Będzie dalej rozrabiała - dodała Téa sucho.

- Ma dobre intencje - westchnęła Madam. - Niestety, zawsze popada w tarapaty.

Jakby na potwierdzenie jej słów torebka wnuczki zaczęła wyśpiewywać „odbierz  
mnie, odbierz mnie”.

- O wilku mowa - westchnęła Téa.

- Ustaliliśmy, że będę twoim opie... - odchrząknął Luc - ochroniarzem na następ-  
nych sześć tygodni?

Najwyraźniej zamierzała się jeszcze kłócić. Podejrzewał, że miała to w genach, jak  
rude włosy. Toteż zdziwił się, gdy dała za wygraną.

- Zgoda. - I dodała szeptem: - Nie myśl, że nie zauważyłam przejęzyczenia z opie-  
kunem.

- Pojęcia nie mam, o co ci chodzi - skłamał beczelnie.

Sięgnęła do torebki, w której odezwał się inny dźwięk. Wyjęła wszystkie trzy apa-  
raty i przestawiła je na wibrację. Reszta lunchu minęła im na uprzejmej konwersacji.  
Wszyscy starannie omijali drażliwe tematy. Luc cierpliwie odpowiadał na pytania star-  
szych pań, ale jego uwaga skupiła się na młodej kobiecie.

Nietrudno było zauważyć, że myślami błądziła gdzie indziej. Gotów był się zało-  
żyć, że próbuje wymyślić pretekst, by wykręcić się z umowy.

- Masz już pomysł? - szepnął konspiracyjnym tonem.

- Jaki?

- Jak się mnie pozbyć.

- Jeszcze nie. - Ale oczy jej zalśniły i było oczywiste, że właśnie wpadła na genial-  
ne rozwiązanie.

- Madam, chciałabym zapytać.

- Tak, kochanie?

- W jaki sposób wynagrodzimy Luca za jego profesjonalne usługi? Ochroniarze sporo kosztują, a my musimy liczyć się z każdym groszem, przynajmniej na razie. - Uśmiechnęła się chytrze, widząc oznaki zakłopotania na twarzy babki.

- Czy Nonna wam nie mówiła? - wtrącił Luc. - To twój prezent urodzinowy od rodziny Dantów.

- Jak szlachetnie z waszej strony. - Omal nie zgrzytnęła zębami. - Nie mogę przyjąć tak wielkiej uprzejmości. Niepotrzebnie się wykosztujecie.

- Cała przyjemność po naszej stronie. - Pozwolił sobie na złośliwą szpileczkę. - Niańki są tańsze niż ochroniarze, więc koszty będą umiarkowane. - Podniósł się z krzesła. - Co ty na to, żebyśmy omówili szczegóły na osobności?

- Dobry pomysł - odrzekła, zbierając swoje rzeczy. - Moje biuro?

Biuro zdecydowanie nie nadawało się na negocjacje, które miał na myśli.

- Mieszkam w pobliżu.

- Ten pomysł mniej mi się podoba.

Ignorując Téę, Luc serdecznie pożegnał się z Madam i Nonną. Potem objął dziewczynę jak najlepsza, przyjaciółkę i wyprowadził z lokalu. Zapakował ją do taksówki i, głuchy na protesty, podał kierowcy adres swego apartamentowca, po czym rozparł się na siedzeniu.

Rozzłoszczona Téa przypominała prychającą kotkę gotową drapać i gryźć. Płomienne loki i lśniące oczy współgrały z jej nastrojem. Myśl, że udało mu się potrzęsnać jej światem, sprawiała mu perwersyjną przyjemność. Nie tylko on przeżył dziś emocjonalne trzęsienie ziemi.

- Muszę wracać do pracy. Szkoda mi czasu na głupstwa. Nie wiem, jakie gierki uprawiasz, Luciano, ale nie mam na nie ochoty - protestowała.

- Spełniam życzenie naszych babek. Jeśli ja jestem gotów przez sześć tygodni pilnować, żeby włos ci z głowy nie spadł przed urodzinami, ty możesz przynajmniej udawać, że ci to nie przeszkadza.

- Zgoda - poddała się wreszcie.

Zadzwoiła do biura, uprzedzając o zmianie planów, następnie odsłuchiwała wiadomości we wszystkich trzech komórkach i przestawiła je na sygnał dźwiękowy. Ustąpiła, ale ostatnie słowo musiało należeć do niej.

- Jednego nie rozumiem. Co właściwie się stało, kiedy pierwszy raz podaliśmy sobie ręce? To było dziwaczne.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Luc próbował zbagatelizować sprawę, ona jednak drażyła dalej.

- Nie wciskaj mi ciemnoty. Słyszałam o waszym sekrecie. Każdy Dante potrafi magicznym dotykiem zahipnotyzować kobietę i wciągnąć ją do łóżka. - Nagle ją olśniło.

- Zamierzasz wypróbować na mnie swoje męskie czary?

TLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Chcesz, żebym cię zaciągnął do łóżka? - Luc udawał, że nie zauważa ukradkowych spojrzeń zgorszonego taksówkarza.

- Nie! To wykluczone!

- Szkoda. Łatwo mnie namówić... - I przybierając minę skrzywdzonego niewiniątka, zełgał: - Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Téó. Nie słyszałem o żadnym magicznym dotyku.

- Akurat! Wszędzie się mówiło o tym, w jaki sposób twoi kuzyni zdobyli żony.

Co za uparta kobieta! Zwęszyła trop i nie odpuści. Luc był przyzwyczajony do ludzi, którzy prężyli się przed nim na bacność i bez dyskusji wykonywali rozkazy. Tymczasem ta dziewczyna bez przerwy kwestionowała jego słowa.

- Nie wiedziałem, że inteligentna osoba może się nabrać na plotki wymyślane przez szmatławę tabloidy w stylu „Donosiciela”.

Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec.

- Nie tylko brukowce o tym pisały. O ile pamiętam, niejaki Marco Dante wraz z żoną opowiadali w telewizji o swoich przeżyciach.

- To akurat łatwo wytłumaczyć.

- Zaczynj od razu. Słucham.

- Zwykła sztuczka reklamowa. Caitlyn jest kochającą żoną. To jasne, że rozpozna męża nawet z zawiązanymi oczami.

Téa skrzywiła się sceptycznie. Widać było, że jego wyjaśnienie jej nie przekonało.

- A prąd, który nas poraził, kiedy podaliśmy sobie ręce? Wypróbujesz to na każdej kobiecie, żeby sprawdzić, jak zareaguje?

- Nigdy mi się to nie zdarzyło - zapewnił.

- Więc co to było? Możesz mi wyjaśnić? - drażyła jak zawodowy śledczy. Luc zaczął rozumieć, co miała na myśli Nonna, gdy mówiła, że Téa ma jednotorową koncentrację. To obsesja, nie koncentracja, uznał.

- Elektryczność statyczna - podsunął jej wyjaśnienie.

- To nie była elektryczność statyczna - upierała się dziewczyna.



- Później pogadamy o zjawiskach paranormalnych. - Luc miał dosyć robienia z siebie pośmiewiska przed taksówkarzem.

Jednak próby ucięcia tematu okazały się bezskuteczne.

- Ale ja chcę wiedzieć teraz!

- Cierpliwości. - Znacząco popatrzył na plecy kierowcy. - Tymczasem opowiedz, czym się zajmujesz.

Spojrzała we wskazanym kierunku i w jej oczach błysnęło zrozumienie.

- Pracuję dla, Blinga. - Była to popularna nazwa Billingsa, który był głównym dostawcą złota i srebra dla jubilerskiego imperium rodziny Dantów. - W pewnym sensie jestem właścicielką przedsiębiorstwa.

- W pewnym sensie?

- Mój dziadek, Daniel Billings, zapisał mi je w testamencie. Umarł kilka miesięcy temu.

- Był ojcem twojej matki?

- Nie. Mama wyszła za Danny'ego Billingsa, syna Daniela. Tatuś zginął w katastrofie lotniczej, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem. Miałam dziewięć lat, kiedy wyszła drugi raz za mąż za papę, a właściwie ojczyma - wyjaśniała Téa. - Właśnie wtedy Madam zabrała wszystkie dzieci na wakacje do was, nad jezioro. Mama z papą wyjechali w podróż poślubną. My, de Lucasowie, mamy różne korzenie. Ja jestem córką mamy, a moje siostry są córkami papę, ale prędko to rozróżnienie zniknęło i stałyśmy się po prostu ich dziećmi, a rodzina - naszą rodziną. Taki koktajl de Lucasów z domieszką Billingsów.

- Rozumiem. Ale Téa jest bardzo nietypowym imieniem dla Billingsówny. Wydaje się włoskie.

- To bardzo stara rodzinna tradycja. Najstarszej córce nadawano imię Téadora, a synowi Téador.

- Pasuje do ciebie. W każdym razie ta krótka wersja.

- Dziękuję.

- I za sześć tygodni przejmiesz kontrolę nad firmą Billingsów?

- Tak. Na razie się wdrażam.

- Kto w tej chwili zarządza firmą? - Luc miał wrażenie, że w jego głowie odzywa się dzwonek alarmowy.

- Mój kuzyn, Conway Billings.

- A jeśli coś ci się stanie, zanim skończysz dwadzieścia pięć lat?

- Myślisz, że kuzynek zechce się mnie pozbyć - zażartowała.

Miała olśniewający uśmiech.

- Nie uwierzyłabyś, do czego ludzie są zdolni, gdy W grę wchodzi pieniądze - odparł poważnie. - Zaufaj mi. Widziałem już niejedno.

- Nie Connie - stwierdziła stanowczo.

- Kim jest Connie?

- To zdrobnienie od Conwaya. Wszyscy go tak nazywają. Jako ochroniarz pewnie wszędzie doszukujesz się zagrożenia, nawet jeśli nie istnieje. Ja patrzę na tycie od dobrej strony.

Poklepała go uspokajająco po ramieniu i znów cofnęła rękę jak oparzona. Pomysł, że ktoś usiłuje dodać mu otuchy, wytrącił go z równowagi. Zawsze było na odwrót. Téa pocierała dłoń, jakby ją swędziało lub łaskotała, może zresztą robiła to machinalnie. Musiał się powstrzymać, by jej nie naśladować.

- Jesteśmy na miejscu?

- Prawie. Powiedz mi jeszcze o tych wypadkach, które ci się ostatnio zdarzały.

- Nie było żadnych wypadków. Po prostu należę do ludzi, którzy nie mają podzielnej uwagi. Zaczepiam biodrem o klamki, wpadam na szklane drzwi, potykam się, bo nie potrafię jednocześnie iść i rozmawiać.

Widział podobne przypadki wśród rekrutów. Wiedział, jak sobie z nimi radzić.

- Jesteś ofermą i tyle.

- Chętnie bym zaprzeczyła, ale to niestety prawda - westchnęła. - Niezdara ze mnie.

- Może przytłaczają cię kłopoty finansowe?

- To tylko część problemów. Staram się nauczyć wszystkiego, zanim przejmę firmę. Nie spodziewałam się, że to ja ją odziedziczę, więc mam dużo do nadrobienia. Skończyłam zarządzanie na Stanfordzie, ale wiedza teoretyczna nie zastąpi praktyki.

- I jesteś pewna, że Connie nie knuje skrycie, jak cię pozbawić twojego dziedzictwa?

- Całkowicie - odparła. - Zamierza założyć własną firmę i nie może się doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł mi przekazać dotychczasowe obowiązki.

Taksówka stanęła przed apartamentowcem. Luc podał kierowcy odliczoną kwotę, otworzył drzwi kartą i poprowadził gościa przez duży hol do windy. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, dziewczyna podjęła temat.

- Teraz, gdy jesteśmy sami, powiedz mi wreszcie, dlaczego między nami iskrzy, w najbardziej dosłownym znaczeniu. Co się dzieje?

Luc patrzył na zmieniające się cyfry pięter. Etykieta wymaga, by w windzie nie przyglądać się ludziom natarczywie i trzymać ręce przy sobie.

- Moja magnetyczna osobowość? - zażartował.

Prychnęła pogardliwie.

W milczeniu dojechali na ostatnie piętro. Téa weszła do jego apartamentu i zamarała.

- Boże wielki, to wszystko twoje?

- Tak.

Na szczęście jej zainteresowanie rozplanowaniem i urządzeniem mieszkania odwlokło w czasie pytania o Piekło. Tak w rodzinnej tradycji nazywano ten specyficzny dar, który przechodził z pokolenia na pokolenie od wielu stuleci.

- Sam tu mieszkasz?

- Jestem pustelnikiem z natury - wyjaśnił.

Rozglądała się wokół z zainteresowaniem. Spartańskie wnętrze, nowoczesny sprzęt elektroniczny i liczne zdjęcia rodzinne na ścianach. Podeszła bliżej, licząc, że rozgryzie swego gospodarza. Fotografie z dzieciństwa pokazywały rozbrykanego chłopaczka w towarzystwie rodzeństwa i kuzynów, otoczonego miłością rodziców i dziadków. Potem seria zdjęć ze służby wojskowej, gdy radosny niefrasobliwy chłopak przeistoczył się w młodego mężczyznę, a właściwie młodego wojownika - coraz bardziej zamkniętego w sobie, z uporem i wolą walki w oczach. Dawne bezpieczne życie się skończyło, a nowe zależało od mieszanki szczęścia i doświadczenia.

Wreszcie ostatnia grupa zdjęć - dorosły mężczyzna i jego współpracownicy. Samotny wilk, który zawsze zachowuje dystans do stada. W oczach podwładnych respekt i odrobina lęku. Twarz Luca skamieniała, jakby chciał skutecznie zamaskować stare blizny, odcinając się od emocji. Cynizm zajął miejsce niewinności. Zaraźliwa radość i nadzieja zostały wzięte w karby twardej rzeczywistości, a marzenia zmącił pesymizm.

Nie skomentowała zdjęć ani słowem, ale w niewyjaśniony sposób odczuła, że dostrzegła coś, co często umykało oczom postronnych. Zauważyła emocje kryjące się na tych dwuwymiarowych obrazkach, jego ból, determinację i wolę życia. Weszła w głąb mieszkania, a on, krocząc za nią, patrzył na nie świeżym okiem. Było to wnętrze niemal ascetyczne, gdyby nie złocista boazeria z sekwoi na suficie osiem metrów nad ich głowami i takie same podłogi widoczne wszędzie, gdzie nie przykrywał ich dywan.

Dziewczyna zatrzymała się przed szklaną ścianą. Rozciągał się przed nimi niesamowity widok na zatokę. W jej oczach dostrzegł niemy zachwyty.

Jednak, zgodnie z jego oczekiwaniem, błyskawicznie wróciła do poprzedniej rozmowy.

- Czas na odpowiedzi - oznajmiła. - Zanim przejdziemy do warunków, na jakich będziesz mnie ochraniał, chcę wyjaśnić jedną sprawę.

- Zabawne, ja też.

Zbliżył się. Ujęło go, że odważnie trwała w miejscu i ufnie podała mu obie dłonie. Przestał tłumić emocje i pozwolił, by płomień pożądania przeniknął ich oboje.

- Co się dzieje? - wyszeptała oszołomiona.

- To właśnie jest Piekło. Oboje zostaliśmy do niego wtrąceni.

Porwał ją w ramiona, zanim zdążyła odpowiedzieć, i zamknął jej usta pocałunkiem.

Tęę ogarnęło gorąco, rozpląnęło się po wszystkich komórkach i zatętniło w żyłach pożądaniem. Od szesnastego roku życia nauczyła się stawiać na pierwszym miejscu odpowiedzialność za rodzinę, tymczasem teraz w ułamku sekundy wszystko rozsypało się w proch. Płonęła z pragnienia, by zatracić się w jego pocałunkach. Istniała, bo dotykały się ich usta, splatały języki. Tam było serce i oddech, tam było życie. Musi się z nim połączyć, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, którą zrobi. Chciała go opleść ramionami i

nogami, wchłonąć w siebie, stopić się w jedno. Niech emocje wezmą górę nad rozumem, instynkt nad logiką. Cały jej dotychczasowy świat stanął na głowie.

Pragnęła go tak intensywnie, że gdyby z niej teraz zerwał ubranie, uległaby mu natychmiast, na podłodze. Rozkosz sprawiała sama myśl o tym szorstkim mężczyźnie, brutalnie ją zniewalającym.

- Luc - jęknęła prosto w jego usta, gdy on łakomie scalał jej jęki i westchnienia.

Wziął to za przyzwolenie. Jego usta zsunęły się niżej, na odsłoniętą szyję oferowaną mu w poddańczym goście, wycięty dekolt bluzki. Guziki same Wyskoczyły z dziurek, materiał rozsunął się jak kurtyna, odsłaniając pagórki piersi, przysłonięte cienką koronką staniczka.

- Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej skóry. Jest niezwykle jasna - szepnął. Pocałunki skierowały się teraz tam, gdzie skóra graniczyła z koronką. - Jest kremowa, niezależnie do tego, jak banalnie to zabrzmiało. I podobnie smakuje.

- Możesz jeszcze porównać ją do kwiatów magnolii - zachichotała.

- Zdecydowanie jak płatki magnolii, tylko delikatniejsza - przyznał.

Jego oczy przypominały w tej chwili płynne złoto, lśniły namiętnością, jakiej nigdy dotąd nie widziała.

Miała wrażenie, że obserwuje się z boku. Siebie, zupełnie nieznaną istotę. Nie wiedziała, że potrafi kokietować i uprawiać miłość. Wystarczyło, by Luciano Dante kiwnął palcem, a ona padła mu w ramiona. Telefony komórkowe w jej torebce nagle ożyły. Zaczęły dzwonić, ćwierkać i natrętnie domagać się, by odebrała. Z niecierpliwym mruknięciem Luc otworzył drzwi - schowek na płaszcze, jak się okazało - i wrzucił do środka jej torbę i aktówkę.

Trochę ochłonęła. Te telefony stanowiły życiową kotwicę. Łączyły ją z rodziną, nadawały sens jej życiu. Nie powinna być egoistką. Jest potrzebna innym.

- Czekaj, Luc. To może być coś ważnego.

Zgarnął ją w objęcia i wszelkie jasno sformułowane myśli rozwiały się niczym dym. Zawsze była rozsądna, czemu teraz rządzą nią zmysły? Może dlatego, że dotąd nie

znała podobnych emocji. Nawet nie umiała ich sobie wyobrazić. Prawdę mówiąc, unikała ich.

Rodzinę zawsze stawiała na pierwszym miejscu. Obowiązek i odpowiedzialność stanowiły wartości, którym podporządkowała życie. Tak było od śmierci rodziców. Nie miała odwagi pofolgować sobie, by dopuścić do głosu zmysły i uczucia. Jeden jedyny raz, gdy pozwoliła sobie na młodzieńcze szaleństwo, noc zakończyła się prawdziwą katastrofą.

Tamta noc wypaliła w niej piętno. Troska o rodzinę stała się powołaniem i przeznaczeniem. Nic poza tym się nie liczyło. Nic - do momentu, gdy w jej życiu pojawił się Luciano Dante i jednym dotknięciem ręki wymiółł z jej umysłu wszelkie racjonalne reakcje.

Zostało tylko pożądanie. Musi mieć tego mężczyznę. Potrzebuje go. Przez tyle lat była rozważna i opanowana. To ona nadzorowała siostry i opiekowała się nimi. Altruistycznie odsuwała na później swoje potrzeby i pragnienia. Powtarzała sobie, że najpierw musi wejść w posiadanie swego dziedzictwa, zapewnić byt rodzinie.

Luc jednym elektryzującym dotykem uwolnił ją od ciężaru. Przygniatający ją garb zniknął wraz ze świadomością i racjonalnym myśleniem. Zostały zmysły rozpalone do białości, iskrzące namiętnością.

Na wargach poczuła smak jego ust. Wciągnął powietrze, jakby chciał zatrzymać w płucach jej zapach. Zawirowało jej w głowie. Niech licho porwie obowiązki i odpowiedzialność. Precz z inteligencją i intelektem. To, co zostaje, jest niesamowicie intensywne". Nie do opisanie. Pochłaniające.

Luc wziął ją na ręce, nie przerywając pocałunku. Miała wrażenie, że frunie nad ziemią, potem nastąpiło lądowanie na miękkich poduszkach. Zapadła się pod ciężarem gorącego twardego ciała.

Z bliska mogła się lepiej przyjrzeć jego twarzy. Wyraziste rysy, niemal wykute w marmurze, mocno zarysowane kości policzkowe, surowa linia szczęki. Miał zmysłowe duże usta, a bruzdy po obu stronach zależnie od nastroju unosiły się w uśmiechu lub pogłębiały się, gdy wyrażał gniewną dezaprobatę. Włosy, obcięte na wojskową modłę niemal przy skórze, miały kolor wpadającego w czerń brązu i tendencję do kręcenia się, z

którą ich właściciel skutecznie walczył. Jednak to oczy przykuwały uwagę. Miały niezwykły bursztynowy kolor tęczówek. Były to oczy drapieżnika. Takie oczy zaglądały człowiekowi w głąb duszy i odkrywały jego najciemniejsze sekrety.

Trudno było nazwać Luca urodziwym. Wywierał silne wrażenie, to pewne. Potężny, władczy, nieustraszony. Bardzo męski. Agresywny. Jego twarz budziła respekt, a jednocześnie - choć pozbawiona klasycznego piękna - była atrakcyjna.

Piękny okaz męskiego ciała. Silne, wysportowane, umięśnione. Kontrolował je jak najbardziej precyzyjny instrument. Inaczej skąd u tryskającego testosteronem mężczyzny taki delikatny dotyk? Jakim cudem facet skrojony na wojownika jest jednocześnie czuły?

- Co się z nami dzieje? - wykrztusiła.

- Pochłonęło nas Piekło.

- Prawdziwy pożar zmysłów. Ale czemu aż tak intensywny?

Uśmiech rozjaśnił jego twarz, ujął mu lat, dodał chłopięcego wdzięku.

- To, czego doświadczamy, nosi nazwę Piekła. Tak głosi rodzinna legenda. Kiedy mężczyźni z naszego rodu spotykają kobietę swego życia, ich pożądanie jest jak trawiący oboje płomień, podobny do wiecznego ognia w piekielnych otchłaniach.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - zaśmiała się niepewnie.

- Nie wiem.

- Jak długo to zazwyczaj trwa?

- Nie mam pojęcia. - Machinalnie przesunął palcami po jej dekolcie.

Przeszedł ją dreszcz. Pochylił głowę i usta powtórzyły tę samą drogę na jej skórze.

- A jeśli... - Głośno wciągnęła powietrze. Myśli rozsypywały się niczym domki z kart. - A jeśli będziemy się kochać, czy ugasimy pożądanie?

- Mam nadzieję, że tak. Ale niekoniecznie. Zachwycający stan, pod warunkiem, że nie trwa permanentnie. Może uda nam się uporać z tym pożarem zmysłów przez najbliższych sześć tygodni.

- I wtedy nam przejdzie?

Odsunął się. Zasłaniał jej cały świat, niczym pogański bóg nawiedzający ziemską kobietę.

- Taką mam nadzieję. Różnię się od kuzynów. Oni ożenili się, gdy uderzył w nich ten piorun. Ja nie wierzę w bajki, małżeńskie więzy, a nawet w miłość. Rozumiesz mnie, prawda?

- Nie rozumiem.

- Pożądanie nie trwa wiecznie - stwierdził ponuro. - To tylko romans. Seks. Przejściowa historia. Nic więcej. Nie oczekuj szczęśliwego zakończenia.

- Nie martw się. - Jej głos również pełen był smutku. - Dawno wyrosłam z bajek, zwłaszcza tych, które obiecują: „I żyli długo i szczęśliwie”.

- Ale w to wierzysz. - Odpiął ramięczko stanika i przykrył jej pierś ręką. Promień słoneczny padł na skórę i rozproszył wiszącą nad nimi ciemność. Luc drażnił wrażliwą brodawkę, twardniejącą w jego palcach. - Wierzysz w fizyczną bliskość, tak jak ja. Możemy się dotykać, pieścić, pożądać. Sycić sobą wzajemnie. Wierzysz w to, prawda?

- Nie będzie ci trudno skłonić mnie do wyznania takiej wiary - szepnęła.

Uśmiechnął się kącikiem ust, a oczy zalśniły mu złotawo.

- Gdy skończę, będziesz jak nawrócona.

Ku swemu zaskoczeniu usłyszała własny śmiech, lekki i niefrasobliwy. Przyciągnęła do siebie głowę Luca i wessała się w usta składające tak słodkie obietnice. Jego smak ją upajał, przyprawiał o zawrót głowy. Całowali się długo i niespiesznie. Uczyli się siebie. Odkrywali. Eksperymentowali. I wciąż nie było im dosyć.

Tę pociągnęła za rąbek koszuli, usiłowała walczyć z opornymi guzikami, wreszcie szarpnęła mocniej i guziki ustąpiły, kilka odskoczyło na boki. Pod materiałem znalazła nadspodziewanie gładką skórę, pod którą rysowały się twarde mięśnie.

Nigdy nie czuła się tak pozbawiona hamulców jak w tej chwili. Jej dłonie zataczały niewielkie koła wokół ciemniejszej skóry sutków Luca, ssła i przygryzała opaloną skórę, łagodząc językiem ukąszenia. Miała nad nim władzę, władzę przyprawiającą o zawrót głowy.

Okreśną drogą kierowała się coraz niżej, eksplorując wszystkie miękkie zagłębienia i twarde płaszczyzny, aż trafiła na granicę. Tym razem palce były sprawne i posłuszne, z łatwością poradziły sobie z paskiem i suwakiem, odnalazły pulsującą męskość.



Wśliznął się w jej dłonie z wprawą i bezczelnością. Przyjęła go zaborczo, ale bez pomysłu, co dalej. Nie miała doświadczenia. Nigdy wcześniej nie pozwoliła sobie na tak prowokacyjne okazanie seksualnej ciekawości. Tym razem była nadspodziewanie odważna. Luc pozwolił jej grać pierwsze skrzypce. Zachęcał ją pocałunkami i zdyszczanymi półsłówkami.

Wyczuwała, że się hamuje, by dostosować się do jej tempa. Usuwał za to kolejne bariery. Na bok pofrunęły bluzka, stanik, spódnica i pończochy. Dzielił ich tylko cienki trójkącik jedwabiu na wzgórku łonowym.

Gdy ona próbowała zapisać w pamięci mapę jego ciała, on podjął własne eksploracje. Najpierw usta i szyja. Potem piersi i brzuch. Badał językiem wszystkie fragmenty niczym smakosz delectujący się wspaniałą nową potrawą.

- Co robisz? - jęknęła, półprzytomna z pożądania.

- Nie widzisz? - zaśmiał się.

- Kochamy się. Ale tej części nie pamiętam - wykrztusiła.

- Tej? - Pocałunki prowadziły po wewnętrznej stronie uda od kolana do pachwiny.

Zanim zdążyła potwierdzić, zerwał z niej figi. - A tę część pamiętasz?

Pierwszy raz w życiu była całowana w tak intymny sposób. Orgazm spadł na nią nagle, gwałtowny i niesamowity. Powitała go okrzykiem niedowierzania. Nie, to jej się jeszcze nie zdarzyło! Miała wrażenie, że została rozłożona na czynniki pierwsze i nigdy nie zbierze się w całość. Potrzebowała kilku minut, by wykrztusić z siebie sensowne zdanie.

- To zdecydowanie zapamiętam.

- Będziemy powtarzać, żeby ci się utrwaliło - obiecał. Usłyszała otwieranie szuflady i trzask rozdieranej folii. - Teraz kolejna lekcja.

Leżała pod nim, otwarta na więcej sposobów, niż mogła wyliczyć. Otwarta przez pożądanie, które wcale nie przygasło. Otwarta, bo wszystkie mięśnie jeszcze wibrowały i rozluźniły się po orgazmie. Emocjonalnie otwarta na mężczyznę, który dopiero co pojawił się w jej życiu. Otwarta na ten poziom intymnej bliskości z nim, jakiego wcześniej nie doświadczyła. I sama nie wiedziała, czy to ona usunęła bariery, czy on je pokonał.

Teraz znalazł się na niej i nie było czasu na autoanalizę. Ręce mogące dawać rozkosz równie łatwo, jak siał zniszczenie, wsunęły się w jej włosy. Zwarli się spojrzeniem. Utonęła w jego oczach, gdy on zagłębił się w nią, aż stali się jednym ciałem. Czuła, że ich zjednoczenie ma metafizyczny wymiar.

Oddała mu się całkowicie i bezwarunkowo.

Był już w niej, a wtedy rozum ustąpił miejsca prymitywnej i prastarej sile. Chciała go wchłonąć, skonsumować, zatrzymać w sobie. Stało się coś dziwnego. Téa poczuła, że prąd, który popłynął między nimi w momencie pierwszego kontaktu, właśnie dopełnił swój obieg. Koło się zamknęło. Mężczyzna i kobieta stworzyli całość. W jakimś mistycznym wymiarze uległa nieodwracalnej przemianie, jak poczwarka, z której wyklął się motyl. Czuła się wyzwolona, choć jednocześnie przerażona własnym przeistoczeniem.

Kurczowo trzymała Luca w objęciach, gdy przyspieszył rytm. Pożądanie wezbrało, porwało ich w szaleńczy wir. Krzyczał coś, ale nie rozpoznała słów. Oboje lecieli, prędzej i prędzej. Aż świat eksplodował. Porwała ją fala cudownej kołyszącej przyjemności. Oboje nurzali się w niej i zapadali w głąb rozkoszy. Połączyli się.

Dwie połówki jednego jabłka.

Téa nie miała pojęcia, jak długo leżeli w błogiej nieświadomości. W jej głowie panował chaos. Rozkoszny chaos, bo ciało jeszcze wibrowało echem orgazmu.

Najbardziej ją dziwiło, że nie jest w stanie zebrać myśli. Każda próba prowadziła z powrotem do Luca. Zadziwiała ją, jak łatwo ją posiadł, obdarł ze zbroi przesądów, obaw, urazów i naznaczył jej duszę swym znakiem. Teraz trudno będzie wytyczyć granicę między tym, co jej, a tym, co jego. Wszystko się zmieszało.

- Już nigdy nie będę w stanie się poruszyć - stęknął Luc.
- Ale przynajmniej możesz mówić - jęknęła.
- Dobrze. Ja będę mówił. Ty wstaniesz.
- Wykluczone.
- Więc się przytul. - Zagarnął ją w swoje ciepłe objęcia. - Oj. Wcale nie przeszło.

Nie musiała pytać. Drobnutkie iskierki strzelały wszędzie, gdzie jej kragłości zde-  
rzały się kanciastą geometrią jego ciała. Każdy centymetr kwadratowy skóry łaskotał i  
rozgrzewał się, zmysły ożyły.

- Wciąż to czuję. A powinno ustąpić?

- Tak mi się wydawało.

Złudna nadzieja. Podparła się na łokciach i uniosła, by zajrzeć mu w twarz. Wy-  
starczyło, by spojrzeć na nią przymglonymi oczami, a już z pomrukiem przyciągnął ją i  
zaczął gorąco całować. Przewrócił ją na plecy, ich ciała splotły się ciasno. Pieścili się  
najpierw delikatnie i leniwie, potem z odnowioną gwałtownością.

- Proszę, Luc, proszę - powtarzała Téa.

Nie wiedziała nawet, o co prosi. Nie potrzebował instrukcji. Intuicyjnie odgadywał  
jej potrzeby. Zgadywał i odpowiadał na nie z pasją, która zamieniała seks w fajerwerki  
przyjemności. Najpiękniejsze brylanty ze szlifierni Dantów stopiły się z płynnym złotem  
dostarczonym przez jej firmę, tworząc pierścień, którym zostali połączeni. Ogniwo łań-  
cucha, którego nie można bezkarnie zerwać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Téa obudziła się raptownie. Jej mózg natychmiast wypełniły niepokojące obrazy urojonych katastrof, które spadły na świat, gdy spała.

- Och, mój Boże.

Spod kołdry wyłoniła się rozczochrana głowa Luca. Wyglądał bardziej seksownie, niż to przystoi facetowi.

- Czy to znaczy: „Kochajmy się jeszcze raz” czy raczej: „Co ja najlepszego zrobiłam. Muszę stąd zniknąć”.

- To drugie. - Ostrożnie wysunęła się spod kołdry i odsunęła jak najdalej, by nie wessał jej tajfun namiętności.

Napięcie między nimi wcale nie zmalało.

Luc przyciągał ją niczym magnes żelazo.

- Tak myślałem. - W stroju Adama pokuśtykał w kierunku łazienki.

Zatrzymał się, bo usłyszał za plecami stłumiony okrzyk.

- Wielkie nieba, Luc! Twoje biodro. I kolano. Co się stało?

- Ratowałem damę w potrzebie. Głupio, wiem.

- To moja wina? - spytała z niedowierzaniem. Jeszcze raz przyjrzała się ogromnemu fioletowemu siniakowi pokrywającemu całe udo. - Czemu nic nie mówiłeś? Na pewno cię boli. Może trzeba cię zawieźć do lekarza. Prześwietlić nogę.

- Kość jest cała, inaczej nie mógłbym chodzić. Chciałem wziąć tabletkę przeciwbólową, ale ktoś skutecznie odwrócił moją uwagę. Nie wiesz, kto?

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że tak strasznie się poobijałeś.

- Nie jest aż tak źle.

- A kolano? Wyraźnie kulejesz. - Zamarła, bo jego twarz nagle skamieniała.

Z kochanka przeistoczył się w wojownika. Był w tym wcieleniu zupełnie inną osobą: kimś niebezpiecznym i niewzruszonym, kto widział oraz robił rzeczy złe i niebezpieczne.

- Stara kontuzja. Nie ma nic wspólnego w dzisiejszym incydentem - uciał.

- Który ci z pewnością nie pomógł - mruknęła skruszona.

- Nie chciałem cię zeszkrobywać z asfaltu.

- Dziękuję. - Zawstydziała się na myśl o tym, jak bezmyślnie zbagatelizowała wypadek podczas lunchu. Więcej, zarzuciła Lucowi, że to jego wina. - Naprawdę, bardzo ci dziękuję. Przepraszam za swoje zachowanie.

- Nie okazywałaś przesadnej wdzięczności - przyznał.

- Byłam rozkojarzona. Wiem, że to nie jest usprawiedliwienie. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam i dziękuję.

Rozbawione błyski w jego oczach uświadomiły jej, że dawno jej darował, a teraz drażni się z nią, by się zemścić za jej wcześniejszą opryskliwość. Dała się nabrać.

- Nie ma sprawy. Następnym razem nie będę się rzucał pod taksówkę.

- A ja obstawię, że będziesz, i wygram zakład. - Jeśli pasowało do niego jakieś określenie, to rycerz na białym koniu. W jego kodeksie honorowym obrona słabszych musi być na pierwszym miejscu.

Zniknął za drzwiami, a odgłos wody płynącej do wanny potwierdził, że to łazienka. Teraz mogła pozbierać rozrzucone części garderoby. Większość na szczęście nie została podarta w drobne strzępy, ale jedwabna bielizna nie nadawała się do włożenia.

Niepewna, czy nie posuwa swego wścibstwa za daleko, wędrowała po mieszkaniu. Wkrótce odkryła drugą łazienkę, przylegającą do gościnnej sypialni. Weszła pod prysznic. Z przyjemnością dostrzegła trochę kobiecych szamponów i balsamów. Ciekawe, czy w życiu Luca była - a może nadal jest - jakaś kobieta.

Wytarła się miękkim ręcznikiem i ubrała. Luc najwyraźniej robił to samo, bo z jego sypialni dochodził odgłos otwieranych i zatraskiwanych szuflad.

Teraz mogła jak złodziej wymknąć się z mieszkania albo razem z nim naradzić się, co dalej. Jeśli mają być w dobrych relacjach przez kolejnych sześć tygodni, lepiej odrzucić wariant pierwszy. Téa nie miała zwyczaju uciekać przed potencjalnymi problemami. A dzisiejszy seks może oznaczać komplikacje.

Wróciła do salonu. Jedno spojrzenie za okno przekonało ją, że dzień dobiegł kresu i wkrótce zapadnie zmrok. Zatoka pokryła się światełkami łodzi, jachtów i statków. Po lewej stronie połyskiwał most Golden Gate, jego stalowe liny lśniły jak sznury pereł łą-

czące miasto z północnym półwyspem. Na horyzoncie wyzierała z mgieł wyspa Alcatraz, niczym jakiś mistyczny ląd.

Minął cały dzień? Kiedy? Straciła poczucie czasu.

Kiedy Luc wszedł do pokoju, przestrzeń jakby się skurczyła, tak silne wrażenie wywierała na niej jego magnetyczna osobowość.

- Jesteś głodna czy od razu sięgniemy po alkohol i będziemy udawać, że nic nie zaszło?

- Naprawdę powinnam iść, ale wcześniej musimy przedyskutować parę spraw. - Nie potrafiła rozgryźć, czy Luc się z nią przekomarza, czy mówi serio.

- Nie da się dyskutować bez alkoholu. Podać ci coś?

Odmówiła, a on wrzucił do kryształowej szklanki kilka kostek lodu i hojnie nalał sobie whisky. Wprawił kostki w ruch wirowy, po czym jednym haustem wypił drinka. Zauważyła, że przy zmianie pozycji odruchowo przenosi ciężar na lewą nogę, jakby podświadomie oszczędzał prawą, kontuzjowaną podczas upadku.

- Ty pierwsza. Pewnie zaczniesz od tego, że to, co się stało, nie może się powtórzyć. Musimy współpracować, toteż jako profesjonaliści powinniśmy zachować dystans. Udawajmy więc, że nic się nie stało. Czy odgadłem?

Trafił w dziesiątkę, choć z przyjemnością powiedziałaaby i jemu, i sobie, że się myli. Chce mieć z nim namiętny romans przez najbliższych sześć tygodni. Spędzać z nim w łóżku każdą chwilę i przeciwżyć wszystkie pozycje z Kamasutry.

- Chyba się napiję - oznajmiła.

- Dobry pomysł.

- Masz wino?

- Białe, czerwone czy coś pomiędzy?

- Czerwone.

Popijając wytrawny, lekko cierpki trunek, porządkowała myśli. On tymczasem dorzucił sobie świeżą porcję lodu i dolał whisky, ale nie pił, tylko bawił się, wprawiając trunek w ruch. Z wysiłkiem oderwała wzrok od palców, które jeszcze niedawno wyczyniały z nią tak szokujące i rozkoszne rzeczy.

- Zostałeś wezwany na pomoc, bo stres związany z moim życiem rodzinnym i zawodowym zaczął mi utrudniać normalne funkcjonowanie. - Zaszło jej w gardle, a wino się tymczasem zdematerializowało. - Nie możemy na dokładkę dać się wciągnąć w to twoje erotyczne piekło.

- Dantejskie Piekło - sprostował. - Przez duże P. Siarczystą, ognistą namiętność.

- Mówiłeś wcześniej, że to tylko rodzinna legenda?

- Tak - odburknął. Widać było, że czuje się niezręcznie. - Znam je z przekazu innych. Nigdy wcześniej go nie doświadczyłem.

- Do dzisiaj - zauważyła z satysfakcją.

To było ciągnięcie pantery za wąsy. Niesamowicie złociste oczy zwęziły się i gdyby mógł, chyba by warknął.

- Do diabła, to tylko słowa. Jeśli wszystko wygląda lepiej, gdy bezrozumne pożądanie nazwiesz Piekłem przez duże P, nie mam z tym problemu.

- Pożądanie - drażnyła - doprowadziło twoich kuzynów do ołtarza?

- To oni się ożenili. - Słowo „oni” zostało napisane czerwoną farbą, podkreślone i opatrzone wykrzyknikiem.

- Ty nie zamierzasz.

- Nie nadaję się na męża. Za duża odpowiedzialność. - Na przekór szorstkim słowom schował pazury i posłał jej łobuzerski uśmiech, który mógł zawrócić w głowie każdej kobiecie. - Jestem za to świetnym kochankiem.

Mogła zaświadczyć, że nie ma w tym cienia przechwałki, jednak kusiło ją, by żądać dowodu.

- Myślisz, że unikniesz Piekła, choć nie udało się to twoim krewnym? - prowokowała.

Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiał, bo nie miał gotowej odpowiedzi. Rozbawiło ją, że tak szybko poradził sobie z wyzwaniem.

- Mam trzydzieści lat i za sobą służbę w jednostkach specjalnych. Umiem sobie radzić z popędem fizycznym. To kwestia przewagi intelektu nad ciałem.

- Co prowadzi z powrotem do naszego problemu. Wyznaję, że nie wiem, co bardziej będzie zaprzętało moje myśli: erotyczna przygoda z tobą, czy próba jej unikania. Spać z tobą czy nie spać. Oto jest pytanie.

- Czysto teoretycznie. Czy mam tu coś do powiedzenia?

- A jeśli tak, to co byś wybrał? Czysto teoretycznie, oczywiście.

Mimo utykania, poruszał się wyjątkowo szybko. Odebrał jej kieliszek i odstawił obok swojej whisky.

- Głosuję za natychmiastowym zakończeniem tych głupot. - Po tych słowach porwał ją w ramiona i pocałował.

Pragnienie go rozsadzało. Téa smakowała jeszcze lepiej - delikatna, słodka i kobieca. I taka zmysłowa. Wgryzała się w jego usta, jakby delektowała się egzotycznym owocem. Miała przy tym dekadencją minę, jak kobiety z reklam czekolady zlizujące różowym języczkiem gęstą słodycz.

Uwielbiał w niej wszystko, od lekkiego świeżego zapachu przez krągłości, jakby stworzone dla jego rąk, po inteligencję i poczucie humoru, które dodawały wyrazu jej twarzy. Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie uprowadzić jej do sypialni.

- Ty...! - Jej błękitne oczy rozjarzyły się gniewem. - Jak śmiesz mówić takie rzeczy, a potem całować mnie jak demon seksu.

- Pomyślałem, że już nie będę miał szansy.

Nie dał jej czasu na ripostę. Kobiety takie jak Téa potrafią się posługiwać słowem. Ranią człowieka z precyzją mistrza szpady, po czym obdzierają ze skóry i szatkują z wprawą szefa kuchni.

- Mam współpracowników, którzy mogą mnie zastąpić w roli ochroniarza.

- A my? A Piekło? - Podskoczyła, jakby ją spoliczkował.

- Jak mówiłem, moi czterej kuzyni ożenili się pod wpływem tych doznań. Ja nie mogę. W moim wypadku małżeństwo jest wykluczone.

- W moim też - odparowała. - Nie mam na nie czasu i ochoty.

- A więc zgadzamy się, że trzeba to przerwać, zanim stracimy głowę.

Już miała odpowiedzieć, gdy odezwał się stłumiony acz natarczywy głos komórki: „odbierz mnie, odbierz mnie!”. Dopadła do schowka i wyciągnęła porzucone tam torebkę



i aktówkę. Potem rozsiadła się na kanapie, układając na stoliku wszystkie trzy komórki. Włączyła się druga z nich - czarna w odblaskowe różowe całuski - i zaczęła wygrywać marsza weselnego.

Téa odebrała.

- Halo? Tak, tak, Jules. Wiem. Miałam ważne zebranie. Nie mogłam rozmawiać. - Zaczerwieniła się.

- Obejrzałaś suknie ślubne w Młodej Parze? Nie podobają ci się? - Przez dłuższą chwilę słuchała, kiwając głową. - Dobrze, rozumiem. Szkoda, bo umówiłam się z właścicielką. Dobrze, poszukamy gdzie indziej. Teraz muszę oddzwonić do Vidy. Nie jest ważniejsza od ciebie. Po prostu w tej chwili nie jestem w stanie niczego załatwić w sprawie sukien ślubnych. To musi poczekać do jutra. Odrobinę cierpliwości.

Ledwo skończyła, wybrała kolejny numer.

- Davido, co... - Pauza. - Jeśli zawalisz te ćwiczenia, będziesz miała warunek. Nie, tym razem nie dam rady nic zrobić. Musisz porozmawiać z wykładowcą. Kochanie, jak mogłaś nie pójść na egzamin! Tak, jestem zirytowana. Kac po prywatce nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Wiesz, jakie będą konsekwencje, jeśli wykładowca się nie zgodzi? - Krótsza pauza. - Powiem jeszcze raz. Uczelnie nie dają licencjatu z towarzyskiego flirtu. Jeśli cię wyrzucą, znajdę dla ciebie miejsce w sekretariacie przy sortowaniu poczty. Świetnie, Vida, to jakieś rozwiązanie. Poproś profesora, może się ulituje.

Rozłączyła się i niemal natychmiast rozległ się kolejny ponaglący sygnał.

- Téó - zaczął Luc, ale uniosła palec w geście „poczekaj minutkę”.

- Co tym razem przeskrobałaś, Kat? Znowu? Trzeci raz w tym miesiącu jesteś zawieszona. Dyrektorka znów wezwie mnie na dywanik. Muszę kończyć. Madam mnie potrzebuje. Wieczorem to przedyskutujemy.

Luc wzdrygnął się na słowo „przedyskutujemy”. Nie chciałby być w skórze Kat. Téa z wahaniem podniosła jasnofioletową komórkę, która sprawiła im już raz tyle kłopotu.

- Mówiłaś, że odbierasz telefony od babci niezależnie od czasu i miejsca - zachęcał Luc.

- Tym razem boję się z nią rozmawiać - wyznała.

- Madam potrafi czytać w myślach.

- Nie domyśli się.

- Na pewno się domyśli - jęknęła, rzucając mu rozpaczliwe spojrzenie. - Madam? Szukałaś mnie? - zaczęła sztucznie nonszalanckim tonem.

- To nie Madam czyta w myślach, ale ty nie umiesz kłamać - skomentował Luc mimo jej rozpaczliwych gestów nakazujących mu milczenie. Wyjął jej z ręki słuchawkę.

- Madam? Tu Luc.

- Jeszcze jesteście razem? - zdziwiła się uprzejmie starsza pani.

- Dopracujemy szczegóły kontraktu.

- Jestem taka szczęśliwa, że się go podjąłeś. - Madam była samą słodyczą. - Obie z Nonną jesteśmy zdania, że nikt lepiej niż ty nie zaopiekuje się Téą.

- Nonna jest z panią? - Plany, by przekazać ochronę Téi zaufanym ludziom, gwałtownie wyparowały. Nonna nigdy się na to nie zgodzi.

- Spędziłyśmy razem cały dzień. Poszłyśmy na zakupy, spotkałyśmy się ze znajomymi. Teraz siedzimy w ogrodzie twojego dziadka Prima z kieliszkiem doskonałego wina. Chcesz porozmawiać z babcią?

- Dziękuję, ale to nie będzie konieczne.

- Od lunchu minęło wiele godzin. Niepokoiłyśmy się, bo nikt nie mógł dodzwonić się do Téi. To zupełnie do niej niepodobne.

- Wyłączyła wszystkie telefony na czas naszej niezwykle gorącej dyskusji. Można powiedzieć, że iskrzyło na potęgę - wyjaśnił uprzejmie.

Chyba alkohol sprawił, że pozwolił sobie na dwuznaczność. Téa stłumiła krzyk protestu.

- Bardzo rozsądnie - pochwaliła Madam. - Choć jestem zdziwiona, muszę przyznać, że trwało to tak długo.

- Zna pani swoją wnuczkę. Jest bardzo dokładna. Musiała osobiście przeanalizować każdy szczegół i namacalnie przekonać się, że oferta ją satysfakcjonuje.

Téa jęknęła i zapadła się głębiej w poduszki.

- To perfekcjonistka - przyznała Madam.

- Miałem okazję się o tym przekonać. A kiedy człowiek myśli, że czas odpocząć, ona jest gotowa zacząć wszystko od początku.

- Nie przestawajcie więc, dopóki nie skończycie.

- Powtórzę jej.

Połączenie zostało zakończone. Teraz musiał udobruchać Tée, która była gotowa urwać mu głowę.

- No i? - dopytywała Nonna. - Wciąż są razem?

- Ciekawe, prawda? - powiedziała znacząco Madam.

- Nie mogli przez cały ten czas dyskutować o zleceniu - uśmiechnęła się chytrze Nonna.

- Myślę, a nawet jestem pewna, że uprawiali seks - szepnęła konspiracyjnie przyjaciółka.

- Wydawało mi się, że dostrzegam oznaki Piekła już wtedy, gdy spędzali razem wakacje nad jeziorem. Oczywiście, byli dziećmi, więc iskrzenie było trudno zauważalne. To samo się działo między Lazzarem a Arianą. Zobacz, jacy są dziś szczęśliwi. Wszystko potwierdza nasze podejrzenia. Dobrze zrobiliśmy, żeśmy to zaaranżowały - zauważyła z nutą dumy.

- Jak zwykle masz rację - przyznała Madam.

- Piekło uderza jak piorun, a potem wszystko dzieje się samo. Przy odrobinie szczęścia będą zbyt zajęci, żeby nam zadawać niewygodne pytania.

- Jakie?

- Przyznaj, że pomysł z ochroniarzem dla Téi jest odrobinę naciągany. Luciano wkrótce odkryje, że nawet jeśli Téa wpada na ściany, powodem jest jej zabieganie, a nie pułapki zastawiane przez niewidzialnego wroga. Miałyśmy szczęście, że dzisiaj był świadkiem, jak łatwo może się jej zdarzyć wypadek. To go ostatecznie przekonało.

- Szczęście?!

- Wiesz, co mam na myśli. - Nonna poklepała przyjaciółkę po ręce. - Nikomu nic się nie stało, a nasza historyjka nabrała wiarygodności. Luciano to dobry chłopak. Nie martw się o swoją dziewczynkę.

- Zawsze się o nią martwię - przyznała Madam. - Ja jedna. Bierze sobie za dużo na głowę. Tak jest od śmierci rodziców. Obwinia siebie, biedactwo.

- Luciano się tym zajmie. Pierwszy krok zrobiony.

- Drugi będzie trudniejszy - ostrzegła Madam.

- Zawsze jest sposób, żeby przyłapać gołębki na gorącym uczynku, jeśli już natura zadbała o resztę.

- A gdy ich przyłapiemy?

- Trzeci etap, oczywiście - Nonna uśmiechnęła się z satysfakcją. - Ślub i wesele.

Luc pokornie pozwolił odebrać sobie komórkę.

- Nie wierzę, że miałeś czelność - parsknęła rozzłoszczona Téa.

- Twoja babcia nie zauważyła podtekstów.

- A jeśli zauważyła i zrozumiała?

- O, do diabła. - Luc się zaczerwienił.

- Miałeś rację - burknęła.

- Z pewnością. Ale w jakiej sprawie?

- Ja też głosuję, żeby zakończyć sprawę między nami. Przegłosowaliśmy to jedno-głośnie. Od tej pory łączą nas stosunki czysto biznesowe.

Nie skomentował, bo przecież tego chciał od początku. Czemu więc ma ochotę się spierać?

- Tak z ciekawości, dlaczego masz trzy telefony zamiast jednego?

- Próbowałam, ale zapychała mi się skrzynka. W końcu komórka eksplodowała.

- To się nie zdarza.

- Mnie się zdarzyło. Po dwudziestu czterech godzinach używania zaczęła piszczeć jak zagubiony kotek, potem miniaturowy obłok w kształcie grzyba pojawił się nad moją torebką, a w środku znalazłam stopiony plastik i elektroniczne bebechy. Szkoda, bo to był śliczny mały aparacik. Lubiłam go.

- Wtedy kupiłaś trzy kolejne?

- Postawiłam na technologię i kupiłam palmtop.

- No i?

- Posypał się. Technicy zapewniają, że będzie z niego wygodny podręczny kalendarz.

- Co dalej? - Luc uśmiechnął się, szczerze rozbawiony.

Téa skończyła robić porządek w torebce i zabrała się teraz za aktówkę, która miała w środku liczne przegródki i kieszonki.

- Przywiązuję dużą wagę do dobrej organizacji - wyjaśniła. - Kupiłam trzy komórki: jeden numer dla sióstr, jeden dla babci.

- A trzeci?

- Moja prywatna linia. - Szukała w aktówce nie wiadomo czego, ale Luc podejrzewał, że to sposób, by uniknąć zaglądania rozmówcy w oczy.

- Kto zna ten ostatni numer?

- Czasem dzwonią z pracy - wyjaśniła niechętnie, gdy już zaczął się obawiać, że padnie imię byłego lub aktualnego adoratora. - Właściwie chciałam zrezygnować. Używam go tak rzadko, że nie jest mi potrzebny.

- Zostaw go. Jeszcze się przyda.

- I po cóż to? - Spojrzała na niego nastroszona.

- To będzie nasza prywatna linia.

- Nasza linia? - zdziwiła się. - Przecież będziemy spędzać razem tyle czasu, że nie potrzebujemy się porozumiewać przez telefon.

- Przez sześć tygodni chcę mieć z tobą nieustający kontakt. Jeśli nie podasz mi tego numeru, dopisz mnie do tej drugiej komórki jako czwartą siostrę.

- Nie, nie. Odpada.

- A numer, który przeznaczyłaś Madam?

- Jeszcze gorzej. Zostańmy już przy mojej osobistej linii. - Podyktowała mu numer, który wprowadził do pamięci aparatu. - Ale pamiętaj. Gdy tylko skończę dwadzieścia pięć lat, wykasuję cię z mojego telefonu, pracy, życia... i mojego łóżka.

- Tak jest! - Zasalutował ironicznie.

- A teraz, proszę, wezwij mi taksówkę.

- Wyjaśnimy sobie tylko jedną rzecz.

- Jaką?

Sięgnął po nią, a ku jego zaskoczeniu nie stawiała oporu, tylko oplotła go ramionami, jakby na to czekała. Pasowali do siebie jak klucz do kłódki - jeden jedyny klucz do jedynej wyjątkowej kłódki. Razem otwierali niezwykły skarb, w którego istnienie nie chciał uwierzyć. Skarb, który kusił i zniewalał. Jak mu się uda go porzucić, jeśli już teraz nie potrafi się oprzeć pokusie?

- Przecież mieliśmy więcej tego nie robić?

- Zakaz obowiązuje dopiero wtedy, gdy zacznę dla ciebie pracować - odparł. - Czyli od jutra.

- A twoja noga?

- Noga przeżyje. Martwię się o inne części ciała.

Nie był pewien, czy Téa skapituluje, czy dalej będzie się opierała, ale nie trzymała go długo w niepewności. Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Masz wiele pytań, a ja znam odpowiedzi. Chcesz się przekonać?

- Skoro nalegasz - mruknął, niosąc ją do sypialni.

- Nie tylko nalegam, ja rozkazuję.

- Jestem zawsze na twoje rozkazy - oznajmił, kładąc ją na łóżku i rozpinając pasek.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka Luc nie znalazł Téi w mieszkaniu. Zniknęła wraz ze swoimi torbami i kolekcją telefonów. Cóż z niego za ochroniarz, jeśli na samym wstępie stracił klientkę z oczu!

Mieszkanie wydawało się ciche i puste. Jeszcze wczoraj to w nim najbardziej cenił, teraz jednak czegoś mu brakowało. Miał ochotę zadzwonić do Téi, ale nie miało to sensu, skoro wkrótce odwiedzi ją w pracy.

Poduszka pachniała jak ona. Przyłożył ją do twarzy i wciągnął powietrze. Lekki świeży zapach perfum wypełnił mu nozdrza, a jego ciało zareagowało gotowością do ponowienia ekscesów minionej nocy. To zrozumiałe. Zaskoczyła go natomiast inna reakcja, którą widywał u mężczyzn w swej rodzinie. Dłoń pulsowała i swędziała, tak że ciągle ją odruchowo pocierał.

Nie ma co się wypierać. Piekło trafiło i jego. Czuł się jak człowiek na stosie. Płomienie strzelały i trzaskały, zapełniając ogniem jego krwiobieg. Fatalnie. Jak uspić w sobie tę ziejącą ogniem bestię? Dantejskie Piekło to jedyna rzecz, której musi unikać.

Nie chciał przyjąć do wiadomości, że na to może już za późno.

Godzinę później był w zakładach Billingsa. Imponujące miejsce, pomyślał. Jasnoszare dywany tłumiły dźwięki. Ludzie rozmawiali przyciszonym głosem. Meble były duże i ciężkie, z ciemnego drewna. W każdym kącie stały rozłożyste wysokie rośliny doniczkowe, istna dżungla, w której mógłby się ukryć tygrys, gdyby się tu zabłąkał.

Było to miejsce trochę nadęte i sztywne, szczególnie w porównaniu z siedzibą Dantów, ale jeśli dekoratorzy zamierzali stworzyć wrażenie bogactwa i prestiżu, z pewnością im się udało.

Atrakcyjna, nienagannie ubrana recepcjonistka siedząca w prawdziwej fortecy wyposażonej w najnowszą elektronikę zapewniła, że pani de Luca go oczekuje. Sprawdziła jego tożsamość i wyposażyła go w przepustkę uprawniającą do wstępu na piętro, gdzie znajdowały się biura członków zarządu. Wsadziła go nawet do windy i przycisnęła guzik. Luc nie wiedział, czy chciała być uprzejma, bo zauważyła, że gość kuleje, czy raczej uznała, że taki kaleka nie poradzi sobie z naciśnięciem guziczka. Na górze odebrał go

recepjonista - tym razem mężczyzna - i poprowadził korytarzem do narożnego gabinetu. Za oknem wznosiła się ściana drapaczy chmur. W przesmyk między budynkami wpadał snop promieni słonecznych, a w oddali widniała szaroniebieska woda.

- Jak miło. Widać kawałek zatoki.

Téa uniosła głowę i przez chwilę dostrzegł w jej oczach reminiscencje ostatniej nocy. Jego sarkastyczny przycinek skwitowała olśniewającym uśmiechem. I jakby w odpowiedzi znowu odezwało się swędzenie dłoni. Inne części ciała też dały o sobie znać, ale to zignorował.

- Dzień dobry - powitała go.

- Wyszłaś bez uprzedzenia - zaczął, choć powinien powstrzymać się od wyrzutów.

- Nawet się nie pożegnałaś.

- To prawda - przyznała potulnie.

Trudno się gniewać na osobę, która nie zamierza się kłócić. Podszedł do okna i rozluźnił krawat, który nagle zaczął go dławić.

- Ustalmy wreszcie, w jaki sposób będę cię chronił.

- Mieliśmy to zrobić w nocy.

- Ale robiliśmy inne rzeczy, których zresztą mieliśmy unikać.

- Zaczniemy od nowa - zaproponowała. - Może tym razem nam się uda.

- Myślałem, że ostatnia noc była raczej udana.

- Przestań.

Ale obrazy Téi rozciągniętej bezwstydnie na jego łóżku były zbyt świeże. Rude włosy płonące w krwawej łunie zachodu. Biała skóra połyskująca perliście w blasku księżycy. Smukłe uda obejmujące go z zaskakującą siłą. Wyraz jej twarzy, gdy w nią wchodził. Gardłowe odgłosy, które wydawała podczas orgazmu.

- Powiedz mi jak, a przestanę.

- Luc. - Sposób, w jaki wymówiła jego imię wymownie świadczył, że ona również rozdarła jest między logiką a pożądaniem.

Nie zdążyła skończyć, bo rozległy się pierwsze tony marsza weselnego. Spoważniała i sięgnęła po komórkę.



Ze strzępów rozmowy wywnioskował, że narzeczony Juliann był wojskowym i obecnie stacjonował w bazie poza granicami kraju. Wyglądało na to, że siostra nie umie podjąć samodzielnie żadnej decyzji i wyręcza się Tęą. Ledwo skończyła się jedna rozmowa, zadzwoniła Davida, by zdać sprawozdanie z problemów na uczelni, a potem Madam z serią pytań na tematy finansowe. Jedynie Katrina nie zawracała siostrze głowy, ale może używanie komórek w czasie lekcji było zakazane.

- O czym właściwie rozmawialiśmy? - zapytała Tęa, gdy wreszcie skończyła konferencje rodzinne.

- Nic ważnego - zbagatelizował. - Czy twoja rodzina zawsze jest taka absorbująca?

- Zastępuję siostrze rodziców - wyjaśniła.

- Co się z nimi stało?

- Mama i ojczym zginęli w wypadku.

Zorientował się, że sytuacja była dużo bardziej skomplikowana niż to proste stwierdzenie. Twarz Tęi nagle skamieniała, zniknęły z niej emocje. Świetnie ją rozumiał. On też zachowywał pewne sprawy tylko dla siebie, stąd wyczulenie na sygnał: „wstęp wzbroniony”.

- Wtedy zajęła się wami Madam?

- Madam nas wychowywała, ale ja matkuję siostrze. To mój obowiązek.

- Kto ci to powiedział?

- Słucham? - Teraz zbił ją z tropu. - Nikt nie musiał mi mówić. To było oczywiste.

- W jakim wieku są twoje siostry? - Obliczył w myślach, ile miała wtedy lat. Jedyłą oczywistością jest, że Tęa była wówczas za młoda na wejście w rolę matki.

- Juliann ma dwadzieścia dwa, Davida dwadzieścia jeden, a Katrina osiemnaście.

Wkrótce skończy szkołę średnią. Przynajmniej na to liczę.

- A więc jesteś o dwa lata starsza od Juliann?

- Prawie trzy.

- To nie czyni cię substytutem matki. - Nie zamierzał jej krytykować, więc zaraz dodał, by złagodzić słowa: - Oboje jesteśmy w tej samej sytuacji. Ja też jestem najstarszy i rozumiem, że trzeba dawać przykład młodszym. Moja siostra Gia jest młodsza o sześć lat, a z pewnością nie traktuje mnie jak ojca.

- Ale twój ojciec wciąż żyje - zauważyła Téa po chwili i pospieszyła z dalszymi wyjaśnieniami. - Kiedy mama i papa brali ślub, byłam wyraźnie starsza i poważniejsza niż siostry. Czułam się bardziej ich, nie wiem... ciotką? Dawali mi do zrozumienia, że jestem za nie odpowiedzialna.

Innymi słowy, choć ojczym ją adoptował, Téa nadal czuła się inna. Przypomniawsobiesobie odległe w czasie wakacje i dystans, jaki zachowywała ta poważna dziewczynka od reszty rozbrykanego towarzystwa. Bardzo się różniła od przybranych sióstr. Była z wyglądu jak płomień przy stosie węgla. Była niczym łania pasąca się przy miocie czarnej pantery. Z charakteru - oazą spokoju przy trzech małych tajfunach.

- Pamiętam, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz - powiedział nagle.

- Na skrzyżowaniu?

- Nie. W czasie wakacji nad jeziorem. Już wtedy nie mogłem spokojnie usiedzieć w twojej obecności.

- Ani wtedy, ani teraz nie chciał się przyznać, że to były oznaki przyciągania między nimi. - Strasznie mnie irytowałaś.

- Byliście bandą łobuziaków. Szczególnie ty. Trochę się was bałam.

- Psychologia stada. Odmieńcy nie pasują, więc są spychani na margines - przyznał.

- To prawda - westchnęła.

- I wcale nie chciałaś się do nas dopasować. - Pochylił się i czule odgarnął jej z oczu kosmyk.

- Nie byłam przyzwyczajona do takiego gwaru i zamieszania. Do powtórnego zamążpójścia mamy byłyśmy tylko my dwie. Prowadziłyśmy bardzo spokojne ciche życie. Oczywiście, z wyjątkiem tych momentów, kiedy niespodziewanie odwiedzali nas dziadek i babcia Billingsowie. To było niemal jak wizyta rodziny królewskiej.

- Dlaczego? - Luc zastrzygł uszami.

- Mamusia twierdziła, że dziadek Billings niepodzielnie rządził rodziną i nie znosił, gdy ktoś mu się przeciwstawiał - zwierzyła się. - Oczywiście, zawsze był nienagannie uprzejmy. Gdy się złościł, stawał się lodowaty. Nie taki jak członkowie rodziny de Lucasów, którzy potrafią krzyczeć jedni przez drugich.

- Nasza rodzina też ma hałaśliwe obyczaje, choć wystarczy jedno słowo Nonny, żeby krzykacze się opamiętali.

- Madam też ma niezawodne sposoby. Dość, że zastuka w stół, a wszyscy milkną.

- Potrafi zastraszyć bez podnoszenia głosu - przyznał.

- Na początku się jej bałam.

- A jak dziadek Billings przyjął małżeńskie plany twojej mamy?

- Łagodnie mówiąc, niedobrze. Był im przeciwny. Po ślubie mamy z papą wydziedziczył nas. - Zniżyła głos, jakby w królestwie Billingsów nie wypadało źle mówić o nieżyjącym seniorze rodu. - Oniemiałam ze zdumienia, kiedy dowiedziałam się, że dziadek w testamencie mianował mnie swoją spadkobierczynią. Wcześniej zamierzałam studiować prawo.

Decyzja dziadka pewnie jeszcze bardziej zaskoczyła Conwaya Billingsa, pomyślał Luc, ale tego tematu nie chciał w tej chwili poruszać.

- Nazywasz ojczyrna papą, a czasem używasz jego imienia. Czy cię adoptował?

- Tak. Miałam wtedy szesnaście lat. Pół roku później... - Głos jej się załamał.

Wziął ją za rękę. Gorąco promieniowało z miejsca gdzie skóra dotykała skóry, ale było to przyjemne uczucie. Dodawało otuchy.

- Strata rodziców w tak młodym wieku musiała być ciężkim przeżyciem.

- Byłoby jeszcze gorzej, gdyby nie Madam.

- A teraz wreszcie będziesz mogła okazać jej wdzięczność za szlachetne serce.

- Czy to źle, że chciałabym jej nieba przychylić?

- Jesteś tak zagoniona, że o mało nie wpadłaś pod taksówkę - zauważył.

- Trudno mi nad wszystkim zapanować - przyznała. - Ale kiedy skończę dwadzieścia pięć lat...

- Będziesz zarządzać ogromną firmą, choć masz niewielkie doświadczenie. Ilość pracy dramatycznie wzrośnie, a obowiązki rodzinne pozostaną.

- Myślisz, że sobie nie poradzę?

- Może są opcje, których nie wzięłaś pod uwagę?

- Ta mi daje finansową niezależność, której bardzo potrzebuję. - Pukanie do drzwi przerwało rozmowę. Téa gwałtownie cofnęła rękę. - Proszę.

Mężczyzna po czterdziestce zajrzał do pokoju i nieudolnie udał zaskoczenie.

- Masz gościa. Przeszkadzam?

- Skądże znowu, Connie - powitała go przyjaźnie Téa. - Wejdz. Chciałabym, żebyś poznał Luca Dantego. Luc, to mój kuzyn, Conway Billings.

Sławetny Connie okazał się niewysokim człowieczkiem w eleganckim granatowym garniturze i śnieżnobiałej koszuli ze złotymi spinkami. Przerzedzone kasztanowe włosy były krótko ostrzyżone, policzki gładko wygolone. Z kieszonki zwisał mu staromodny złoty zegarek na złotym łańcuszku - reklama produktów Billingsa - nosił okulary w cienkich złotych oprawkach, a buty miał wyglansowane do połysku. Jego cera, w przeciwieństwie do kremowej bieli Téi, miała niezdrowy czerwony odcień.

Nie wiadomo czemu, może z powodu wścibskiego wtargnięcia, Luc poczuł irytację. Kuzyn Connie wiedział, że Téa jest zajęta. Musiał słyszeć głosy przez drzwi. Widział, że przeszkadza, ale to go nie powstrzymało. W końcu był tu najważniejszy. To on, przynajmniej na razie, rządził firmą. Przyzwyczał się, że jego słowo było tu prawem.

Luc podejrzewał, że Connie został uprzedzony przez swoich donosicieli o jego przyjeździe. Jakiś Dante rozmawia z Téą. Byli największymi odbiorcami złota i srebra, naturalne więc jest, że prezes firmy chce sprawdzić, z jaką sprawą przychodzi jego najpoważniejszy klient.

- Miło mi pana poznać - skłamał Luc, wyciągając rękę.

- Mnie również - odwzajemnił się nieszczerze Conway.

- Mają państwo imponującą siedzibę.

- Dziękuję. - Duma gospodarza była wyraźna. - Billingsowie dyktują złote standardy od czasu, kiedy mój stryjeczny pradziad założył tę firmę.

Luc zauważył grę słów. Złote standardy. Producenci złota. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nasza rodzina zawsze z przyjemnością robi interesy z młodymi ambitnymi firmami, jak Bling.

Conway spoważniał. Może nie lubił popularnego skrótu, a może nie spodobało mu się przypomnienie, że konsorcjum Dantów istniało dwa razy dłużej od Billingsów.

- Czemu zawdzięczamy pańską wizytę, panie Dante? - spytał wprost.

- Wystarczy Luc.

- Luc - wycedził Conway.

- Reprezentuję naszą firmę - odparł, zwracając się do Téi, by powstrzymać jej wyjaśnienia. Ujął ją za rękę. - Jeszcze sześć tygodni, prawda? Za długo zwlekaliśmy.

- Z czym? - zapytał nieprzyjaźnie Billings.

Jego wzrok skierował się na ręce połączone w poufałym uścisku.

- Téa przejmie przedsiębiorstwo, prawda? - Nie czekał na odpowiedź. Patrzył na Conwaya z wyrazem pobłażania. - Jako wasz największy klient chcemy mieć pewność, że zmiana nie zaważy na naszych dotychczasowych relacjach biznesowych. Zamierzam ściśle współpracować z przyszłą właścicielką przez najbliższych sześć tygodni.

- Nie masz nic przeciw temu, Connie? - wtrąciła Téa.

- Właśnie, że mam - oznajmił ponuro kuzyn.

Wyraźnie postanowił odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Jeśli Dantowie chcą mojej gwarancji, że jakość naszych produktów i usług nie ulegnie zmianie...

- To nie twoja gwarancja jest nam potrzebna, lecz twojej kuzynki, która wkrótce przejmie firmę - przerwał nieuprzejmie Luc.

Téa wydała stłumiony okrzyk protestu.

- Dopiero za sześć tygodni - wycedził Conway.

Ciekawe, pomyślał Luc. Kuzynek ma zbyt władcze tony jak na człowieka, który nie może się doczekać, by przejść do własnej spółki. Czym właściwie będzie się zajmować jego przedsiębiorstwo, jeśli naprawdę zamierza je założyć?

- Sześć tygodni to krótko jak na sprawdzenie, że wszystkie wasze złote standardy zostaną zachowane. Mam nadzieję, że zaaprobujesz moją obecność tutaj.

- Nie odpowiada mi to... - zaczął Conway.

- Żaden problem. - Luc poderwał się z miejsca.

- Nie chcesz mnie, więc znikam.

- Tak będzie najlepiej. - Billings najwyraźniej odzyskał rezon. Uznał, że wygrał tę potyczkę. - Jestem pewien, że pan rozumie, Dante. To moja firma.

- Nasza - podkreśliła z irytacją Téa.

- Tak, tak. Nasza - przyznał wzburzonym tonem. Musisz się zgodzić, Téó, że nie potrzebujemy intruzów patrzących nam na ręce.

- Zrozumiałem. - Luc wyjął telefon z kieszeni.

- Pozwólcie, że zawiadomię Seva, jak się sprawy mają. To niezbyt fortunna sytuacja, ale mój kuzyn nie z takich kryzysów wychodził obronną ręką. Działa szybko i zdecydowanie.

- Czy to konieczne? - spytał podejrzliwie Conway.

- Telefon do kuzyna czy moja obecność? Zapewniam, że jedno i drugie wpłynie na nasze relacje.

- Przestańcie. - Téa wyraźnie nie aprobowała próby sił dwóch naładowanych testosteronem mężczyzn. - Jeśli Conway nie aprobuje twojej obecności w firmie, Luc, to zamyka sprawę. Oto moje propozycje dla usatysfakcjonowania obu stron. - Mówiła jasno i zwięźle, autorytatywnym tonem. - Luc, zadzwoń do kuzyna i zaaranżuj spotkanie w trójkę. Pojedziemy do niego, przedyskutujemy wasze oczekiwania, zrobimy wszystko, by je spełnić. Zapewnij go, proszę, że zmiana właścicielska nie wpłynie na ofertę Billingsa. Connie, nasz kontrakt z konsorcjum Dantów zostanie przedłużony na kolejny okres. Przygotuj dane księgowe, abyśmy mogli od razu rozpocząć negocjowanie nowej umowy.

Wyraźne usztywnienie postawy i skrzywienie ust wskazywały, że obecnemu szefowi firmy bardzo się nie podoba asertywność kuzynki. Z pewnością nie nawykł do wykonywania jej poleceń.

- To nie będzie konieczne, Téó - odparł. - Świetnie znam wszelkie szczegóły kontraktu. - Zmierzyli się spojrzeniami, po czym niechętnie ustąpił. - W porządku, panie Dante. Jeśli musi pan nadzorować na miejscu pewne aspekty tego przejściowego okresu...

- Luc - Luciano poprawił go uprzejmie.

Przez trzydzieści sekund Conway zmagił się z sobą, wreszcie wykrztusił niechętnie.

- Luc. Jeśli ci tak zależy, żeby tu być...

- To nieodzowne.

- Skoro i tak niedługo przejmiesz stery, Téó, ustal szczegóły. Proszę tylko, żebyś omówiła ze mną wszelkie potencjalne zmiany. - Zwrócił się do Luca. - A jeśli o pana... o ciebie chodzi, Luc, będziemy wdzięczni za uczciwe przedstawienie prawdziwych intencji.

- Prawdziwych intencji?

Pytanie zaskoczyło Luca, a Conway bezbłędnie to wykorzystał i przeszedł do ataku.

- Czy twoim prawdziwym celem jest upewnienie się, że w okresie przejściowym nie wystąpią problemy, czy raczej chcesz uzyskać korzystniejsze warunki nowego kontraktu? Może chciałbyś kupować taniej?

- Zaproponujesz mi lepszą cenę? - zapytał Luc podejrzliwie.

- Nie, nie - wycofał się tamten. - Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, że Téa zmieni warunki dostaw, bo jako kobieta ulegnie męskiej sile przekonywania?

- Męskiej sile? - powtórzył Luc. Nie musiał udawać oburzenia. - Jak rozumiem, insynuujesz perswazje seksualnej natury. - Wyprostował się na całą blisko dwumetrową wysokość i spojrzał z góry na Conwaya niższego o trzydzieści centymetrów. - Za kogo mnie u diabła masz? I za kogo uważasz swoją kuzynkę!

- Źle mnie zrozumiałeś. - Conway zaczerwienił się i ostentacyjnie spojrzał na zegarek. - Chętnie kontynuowałbym naszą rozmowę, ale za parę minut mam ważne spotkanie. Nie przeszkadzajcie sobie. Będę u siebie w gabinecie, gdybyście mnie potrzebowali. - Z tymi słowami i godną miną wymaszerował z pokoju Téi.

Luc odczekał, po czym zwrócił się do dziewczyny. Z ulgą dostrzegł iskielki rozbawienia w jej spojrzeniu.

- Ciekaw jestem - zapytał - czy mógłbym cię przekonać w łóżku, żebyś dała nam lepsze ceny?

- Mowy nie ma.

- Tak myślałem. Musiałem spróbować, inaczej kuzyn Sev byłby zawiedziony.

- Rozumiem.

- Czy nie powinniśmy skorzystać z rady Conwaya? - Uśmiechnął się na widok jej zdumienia. - Nie słyszałaś? Sugerował, żebyśmy sobie nie przeszkadzali. Na razie on tu rządzi - mruknął, pochylając się nad nią i czując uderzenie gorąca.

- Tylko przez sześć tygodni - odparła.

I ona też poczuła powiew Piekła.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Następny tydzień zleciał im niepostrzeżenie.

Téa chwilami czuła się tak, jakby fruwała w powietrzu, a chwilami miała wrażenie, że jakaś sadystyczna istota wystawia ją na męki pożądania, rosnące z każdym dniem spędzonym w towarzystwie Luca.

Nie może sobie pozwolić na szaleńczą namiętność. Nie ma czasu, by jej ulec. Tyle jest pilniejszych spraw. Po zniszczeniu, które zasiała wokół siebie przed laty i którego skutki usilnie starała się choć w części naprawić, nie zasługuje na oszałamiający poryw zmysłów.

Luc dotrzymał słowa. Po konfrontacji z kuzynem wymienili jeden gorący pocałunek i od tej pory jej nie tknął. W każdym razie nie w ten sposób, o jakim marzyła. Kontakt fizyczny ograniczał do minimum, choć dla niego również był to problem. Nie mówił na ten temat, ale nauczyła się dostrzegać drobne oznaki jego nienasyconego pragnienia. Niższy tembr głosu. Lekkie wahanie, gdy jej dotykał, jakby potrzebował sekundy, by zmienić biegi z intymnych na neutralne. Płynny bursztyn jego oczu, zastygający, gdy narzucał sobie dyscyplinę.

Dla niej codzienny kontakt był równie trudny. Miała pilną i wymagającą pracę: musiała nauczyć się wszystkiego o przedsiębiorstwie, zanim przejmie je na własność. Musiała też znaleźć czas na potrzeby i wymagania bliskich. Nie stać jej na dekoncentrację. Wystarczy, że Luc odwracał jej uwagę na różne sposoby, na przykład chowając przed nią telefony, gdy uznał, że rodzina przesadziła z bezmyślnym zawracaniem jej głowy.



Za pierwszym razem wcale nie zauważyła. Cieszyła się nawet, że udało jej się przez kilka godzin popracować w spokoju, zanim dostrzegła brak komórek na biurku. Popatrzyła na puste miejsce z narastającym przestachem, zanim zwróciła się do Luca, i wreszcie jej zaświtało.

- Oddaj je.

Flegmatycznie przewrócił stronę pisma poświęconego elektronicznym zabezpieczeniom.

- Spokojnie, Téo. Nic złego się nie dzieje. W razie konieczności zadzwonią do firmy.

- Nic nie rozumiesz. Nie masz prawa zabierać mi telefonów! - Jej głos nabrał piśkliwych tonów. - Madam i siostry na mnie polegają.

Spojrzał na nią z pewną bezwzględnością. Był to rys jego charakteru, którego do tej pory nie ujawniał.

- Dam ci dobrą radę. Trzeba mieć zaufanie do reszty zespołu i polegać na swoich ludziach. Ale tak samo ważna jest samowystarczalność każdego członka grupy i jego umiejętność zatroszczenia się o siebie i innych, kiedy kogoś nagle zabraknie.

- Możesz to wyjaśnić po ludzku?

- Podejmując decyzje za swoje siostry, sprawiasz, że są ubezwłasnowolnione. Nie będą umiały poradzić sobie w prostych sprawach, zawodowych i osobistych.

- Moja rodzina nie jest oddziałem bojowym - zaprotestowała.

- Nie zaczną troszczyć się o siebie, jeśli to ty będziesz wycierała im nosy, kiedy kichną. Muszą się nauczyć działać i myśleć na własną rękę. - Zmrużył oczy, jakby coś go tknęło. - A może właśnie o to ci chodzi? Chcesz, żeby były zależne od ciebie? Wtedy czujesz się potrzebna?

- Nie!

- Są nieporadne? Niepełnosprawne?

- Oczywiście, że nie!

- Więc skąd twoje obsesyjne przekonanie, że musisz ręcznie sterować wszystkim, co robią?

Zacisnęła wargi i pokręciła głową.

- Wobec tego, poza wyjątkowymi sytuacjami, są zdolne same o siebie zadbać, przynajmniej do popołudnia, kiedy skończysz pracę. Jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo i koncentrację, toteż skonfiskowałem ci telefony i zwrócę je po piątej.

- A jeśli coś się stanie?

- Mają dosyć oleju w głowie, żeby zadzwonić na centralę do Blinga. Centrala przełączy je do ciebie.

Nie chciała się przyznać, ale odczuła wyraźną ulgę, gdy natrętne telefony przestały jej przerywać pracę. Luc dotrzymał słowa i oddawał je punkt piąta.

Siedziała teraz, wpatrując się w długie szeregi liczb w sprawozdaniach finansowych. Coś jej się nie zgadzało, choć nie umiała wskazać palcem gdzie. Westchnęła. Może miałyby więcej szczęścia, gdyby nie czuła się obserwowana czujnie przez żółte oczy przyczajonego drapieznika.

- Co się dzieje? - zapytał.

Nie zdziwiło jej, że w lot wyczuwał jej frustrację i niepokój. Luc był nadzwyczaj spostrzegawczy.

- Nie wiem. Nic ważnego.

- Nie sięgałabyś po ten sam raport piąty raz w tym tygodniu.

- Nie jestem w stanie się skupić - przyznała.

- Może masz za mało snu. Madam twierdzi, że nie śpisz więcej niż pięć godzin na dobę.

Machnęła ręką. Byłaby skuteczniejsza, gdyby cyfry nie tańczyły jej przed oczami szaleńczej rumby.

- Jeszcze trochę.

- Wystarczy. - Pociągnął ją za rękę. - Jest piątek, czwarta po południu. Moim zdaniem, czas na odpoczynek. - Nie zważał na jej protesty. - Będzie przyjęcie u dziadków Dantów. Urodziny mojego brata, Rafe'a.

Przestała się opierać. Przyjemnie było trzymać się za ręce. Dotyk ją uspokajał, napełniał radością, chociaż budził namiętne pragnienia. Nie wiedziała, czy bardziej męczy ją wymuszona wstrzeźliwość czy fantazje erotyczne.

- Idź na to swoje przyjęcie. Ja posiedzę jeszcze parę godzin, a potem pójdę do domu. Będę bardzo uważała. - Uśmiechnęła się zuchowato. - Na widok taksówki dam nura w bezpieczne miejsce.

Przez tydzień odprowadzał ją z domu do pracy i z pracy do domu, niezależnie od tego, jak wcześnie wychodziła i jak późno wracała. Najwyraźniej Madam uprzedzała go o zmianach w jej grafiku. Poddała się temu, bo wykręcanie się od towarzystwa Luca byłoby stratą czasu i energii.

- Mam pomysł. Chodź ze mną na przyjemną rodzinną balangę. Potem cię odwiozę.

Zerknęła na stertę sprawozdań z księgowości. W tej chwili ich studiowanie wydawało się równie pociągające jak kanałowe leczenie zęba. Chętnie spędziłaby kilka godzin w towarzystwie Luca, ale słowo „balanga” budziło bardzo złe skojarzenia. Natychmiast włączało się jej poczucie winy. Obowiązkowość. Odpowiedzialność za rodzinę. Miała wrażenie, że wypaliły piętno na jej sercu i duszy.

- Jakiś problem? - zapytał.

Zaprzeczyła, ale nie zdołała go zmylić.

- Kłamiesz. Masz minę, jakbym cię postawił przed plutonem egzekucyjnym. Dlaczego?

- Nie chodzę na balangi - oznajmiła.

- A kolacje rodzinne? - spytał bez dociekania, skąd ten nagły opór. - Macie przecież rodzinne spotkania?

- Przecież wiesz, że tak.

- I urządzenie przyjęcia urodzinowe?

- To prawda - westchnęła ciężko.

Trudno było coś zarzucić jego logice i wykręcić się żartem.

- No więc to jest zwykła kolacja z okazji urodzin mojego brata. Bardzo bym chciał, żebyś mi towarzyszyła. Proszę, Téó.

Uległa. Jak mogłaby odmówić? Perspektywa spędzenia z nim popołudnia wydała się nagle bardzo kusząca.

- Dobrze. - Spojrzała krytycznie na swój czarny żakiet i spodnie, w których wyglądała na zasadniczą kobietę interesu. - Nie wiem, czy jestem właściwie ubrana.

- Jak zwykle wyglądasz pięknie. Spróbuj coś rozpiąć, coś zamotać, coś napuszyć, a strój przestanie być oficjalny. Kobiety na ogół wiedzą, jak to zrobić.

- Rozpiąć, zamotać, napuszyć. - Siostry, a szczególnie Vida, urodzona flirtciara, wiedziałyby, co to znaczy.

- Pokażę ci. - Zanim zdążyła mu przerwać, zdjął z niej żakiet, odpiął trzy górne guziczki bluzki. Gdy na powrót zapinała dwa, przejechał palcami przez jej włosy, niszcząc ciasny kok i rozsypując na ramiona kaskadę rudych loków. - Znacznie lepiej. - Zmarszczył brwi.

- Coś nie tak? - spytała zaczepnie.

- Aha. O, teraz jeszcze lepiej. - Zdjął jej z nosa okulary i odłożył na stertę papierów na biurku.

- Potrzebuję ich do czytania - zaprotestowała.

- Na przyjęciu nie będą ci potrzebne. A na torcie będzie napis „Wszystkiego najlepszego, Rafe”.

- Dziękuję za informację.

W końcu się uśmiechnęła, uporządkowała rzeczy na biurku i wzięła żakiet, odebrała od Luca komórki. Po drodze zatrzymała się przy biurku sekretarki, uprzedzając ją, że wychodzi trochę wcześniej. Pięć minut później byli już w samochodzie i umykali przed nadchodzącą godziną szczytu, jadąc w kierunku Golden Gate. Téa w tym czasie dzielnie rozwiązywała najnowsze rodzinne kryzysy. Gdy skończyła, Luc na powrót odebrał jej telefony.

- Przez najbliższe godziny jesteś na urlopie.

Gdy dotarli do Sausalito, pokonując kręte drogi na zboczach wzdłuż zatoki, zbliżał się wieczór. Luc zaparkował w rzędzie samochodów przed drewnianą bramą rozległej posiadłości. Za ogrodzeniem rozciągał się ogród z bujnymi różnokolorowymi kwiatnikami, których zapach wręcz upajał. Starannie przycięte akacje i wawrzyny otaczały duży trawnik, na którym królował pojedynczy rozłożysty dąb. Pod nim na ogrodowych krzesłach rozsiadła się wokół stołu grupa około dziesięciu osób, śmiejących się na cały głos i przekrzykujących po angielsku i włosku.

- Poznałaś cały nasz klan, kiedy byliśmy dziećmi, ale jestem przekonany, że po tylu latach nie rozpoznasz nikogo - mruknął Luc do ucha Téi.

- Pojęcia nie mam, kto jest kim - przyznała.

- Wobec tego krótkie wprowadzenie. Tam siedzą nasi bracia stryjeczni. - Wskazał ręką na jednego z mężczyzn przy stole, kilka lat starszego, ale uderzająco podobnego do Luca. - Nie spotkałaś jeszcze Seva?

- Connie zmonopolizował kontakty z klientami - przyznała z ociąganiem. - Mam nadzieję, że to się zmieni przy podpisywaniu nowego kontraktu.

- Dzisiaj możesz zawrzeć mniej formalne znajomości. - Wskazał teraz na dwóch niezwykle przystojnych brunetów z orzechowymi oczami, najwyraźniej odziedziczonymi po babce. - Bliźniaki Marco i Lazz. Na trawniku siedzi ich młodszy brat, Nicolo. Obok jego żona, Kiley.

Następna była blondynka w zaawansowanej ciąży, przytulona do Seva.

- To żona Seva, Francesca. Obie z Kiley mają wkrótce termin porodu. Żoną Marca jest Caitlyn. Rozmawia teraz z żoną Lazza, Arianą. Moja siostra Gia nalewa wino. Chodź, przedstawię cię wszystkim. Weź głęboki oddech i...

- Skacz na główkę?

- Nie martw się, woda jest ciepła.

Téa obawiała się, że będzie się tu czuła jak piąte koło u wozu, ale Dantowie wkrótce udowodnili jej, że się myliła. Może dlatego, że była to zróżnicowana rodzina z wieloma wyrazistymi osobowościami, wkrótce rozmawiała z nimi jak ze starymi znajomymi. Gia, najbardziej ekstrawertyczna i serdeczna, uściskała ją na powitanie i wręczyła jej kieliszek wina. Mężczyźni rozmawiali o sporcie, a kobiety omawiały plany wobec dzieci, które już wkrótce powiększą rodzinę.

- Nonna jak na razie wygrywa wszystkie zakłady - oznajmiła Ariana.

Miała ledwo zauważalny włoski akcent.

- Co masz na myśli? - spytała Kiley.

- Założyła się, że wy obie będziecie miały chłopców, a teraz ultrasonografia to potwierdza, prawda?

- Aha. - Francesca pieśczośliwie pogłaskała swój zaokrąglony brzuch. - A tobie wywróżyła dziewczynkę.

- Też się zgadza.

Z lekkim opóźnieniem dotarło do wszystkich kobiet, co znaczy to stwierdzenie, po czym wybuchła radosna wrzawa. Jedni gratulowali, a inni zasypywali Arianę pytaniami.

- Kiedy rodzisz?

- Naprawdę będzie dziewczynka?

- Dlaczego nic nie mówiliście?

- Jeszcze prawie sześć miesięcy - odpowiadał Lazz ze śmiechem. - Chcieliśmy na razie zachować wiadomość dla siebie, żebyście nas nie doprowadzili do wariacji swoimi pytaniami. Tak, dzisiaj lekarz potwierdził, że to dziewczynka. Nie miał wątpliwości.

Nastrój celebracji udzielił się Téi i Lucowi. Skończyli pić wino, po czym udali się do domu w poszukiwaniu nestorów rodu.

Primo Dante, dziadek Luca, królował w kuchni. Było to ogromne pomieszczenie o rustykalnym charakterze - z szaroniebieską ceramiczną podłogą i potężnymi belkami stropowymi z sekwoi. Długi i szeroki stół, idealny dla licznej wielopokoleniowej rodziny, zajmował jedną jego część, a w drugiej znajdowało się wystarczająco dużo wszelkiego rodzaju naczyń i akcesoriów, że można by nimi wyposażyć sporą restaurację. Przy kuchni kręcili się wnukowie, wykonując polecenia seniora rodu, który ze smakiem i maestrią doprawiał pysznie pachnące potrawy.

- Już polubiłam twoją rodzinę - szepnęła Téa.

- Bo mężczyźni gotują? - odgadł Luc.

- Trafiłeś w dziesiątkę. U nas są same kobiety, więc cała robota spada na pleć piękną.

- Dziadek uwielbia gotowanie i pracę w ogrodzie. Poczekaj, aż spróbujesz jego *pollo al Marsala con peperoni rossi*. - Luc wymownie cmoknął i zmrużył oczy. - Kucharze z całego świata wiele by dali za ten przepis.

- Kurczak w winie marsala z czerwoną papryką? Mój włoski nie jest rewelacyjny, co Madam mi w kółko wypomina, ale na jedzeniu się znam.

- Nad włoskim jeszcze popracujemy - obiecał.

Wyraz jego oczu przyspieszył jej puls. Czowała się jak przed skokiem z samolotu bez spadochronu. Gorąco rozlało się w brzuchu, wszystkie myśli zniknęły, poza jedną. To jest mój mężczyzna. Nie wiadomo, kiedy to się stało, ale Luc należy do niej, tak samo jak ona należy do niego.

Primo przestał komenderować swoją ekipą, by się z nimi przywitać.

- A więc to jest ta jedyna - powiedział.

Zachował melodyjny tokański akcent nawet w angielszczyźnie.

Oboje zeszywnieli. Téa zawsze była dumna ze swojej samokontroli i nieujawniania uczuć. Praktykowała tę sztukę już jako nastolatka. Tymczasem Primo czytał w niej jak w otwartej księdze, zaglądał jej w głąb serca. To ją zawstydziło.

- Dzień dobry panu. Jestem Téa de Luca. Luc i ja pracujemy razem. Przejściowo. - Nie była pewna, czy mówi to bardziej do starszego czy młodszego Dantego.

- Nie mów do mnie per pan, moje dziecko. - W jego objęciach owionął ją zapach cygar i przypraw kuchennych. - Jestem Primo, zapamiętaj sobie.

- Dobrze, Primo. - Nadstawiła policzki do pocałunków. - Naprawdę miło cię poznać.

- Spotkaliśmy się już. - Żartobliwie pogroził jej palcem. - Nie pamiętasz mnie? Byłaś wtedy małą dziewczynką, ale większość ludzi tak łatwo mnie nie zapomina.

- Przepraszam bardzo. Pamiętam drewniany dom i jezioro, ale niewiele więcej.

- Nie szkodzi. - Primo patrzył na nią spod krzaczastych brwi bursztynowymi oczami, tak podobnymi do oczu Luca. - Ja cię zapamiętałem. Byłaś bladą nieśmiałą dziewczynką, trochę przerażoną taką liczbą ludzi. Miałaś płomienną czuprynę, chudziutkie ręce i nogi. I nos zawsze wetknięty w książkę. - Dotknął palcem koniuszka jej nosa.

- To ja, jak żywa - roześmiała się.

Primo odwrócił się i łapą jak bochen klepnął mężczyznę odwróconego do nich plecami. Każdy inny ugiąłby się pod tym ciosem.

- To *babbo* Luca, Alessandro.

Ojciec Luca, przetłumaczyła sobie Téa z dialektu tokańskiego i miło się przywitała.

- Mieszam i nie mogę przerwać, inaczej podszedłbym do was. - Alessandro posłał im szeroki uśmiech.

- Ty mieszaj, ja zajmę się witaniem gościa - poinstruował go Primo. - Ten przystojniaczek to Rafe. Jest śliczny jak obrazek. Dzięki Bogu, drugą piękną osobą w rodzinie jest moja dziewczynka, Gianna, tak jak być powinno. Po co chłopakowi taka uroda? Gdyby nie to, że w tej ładnej łepetynie kryje się tęgi mózg, chybabym go utopił jak kociaka.

- Przyznaj się, Primo. Próbowaleś, ale ci nie wyszło. Okazało się, że pływam jak ryba.

Dziadek wymierzył mu pieszczotliwego kuksańca i wskazał na kolejnego osiłka.

- To Draco, drugi brat Luca, prawdziwe nic dobrego. Nie wiem, czemu go tu trzymamy.

- Jestem czarujący - uśmiechnął się młody mężczyzna.

- To Marco jest czarujący. Ty jesteś *l'stigatore*, rodzinny rozrabiaka.

Draco wyszczerzył zęby, przyjmując słowa jak komplement.

- *Cucciolo mio* - zwrócił się Primo do Luca - znajdź Nonnę i Elię. Przedstaw im naszego gościa. Może będzie pamiętała twoją *mamminę* lepiej niż mnie. - Zwrócił się do Téi. - Nie wpuszczam kobiet do kuchni, gdy gotuję. Wołam je dopiero na jedzenie.

- Bardzo mi to odpowiada - zapewniła go.

- Już cię lubię. Usiądź przy mnie w czasie kolacji.

- Dziękuję - powiedziała, zaczerwieniona z przyjemności. - Na pewno to zrobię.

Przygotowania do posiłku wkrótce się skończyły. Téa zajęła honorowe miejsce przy gospodarzu i sama nie mogła się nadziwić, z jakim apetytem spałaszowała ogromną porcję. Luc miał rację. Kurczak w winie marsala rozpływał się w ustach. Biesiada trwała godzinami, przerywana śmiechem i ożywioną rozmową. Widać było, jaka to zgrana i kochająca się rodzina.

Na torcie rzeczywiście był napis „Wszystkiego najlepszego, Rafe”. Gdy wylizano ostatnie okruszki, sprzątnięto naczynia, a solenizant otworzył prezenty, kobiety wprowadziły Téę na kawę i kolejną porcję rozmów o dzieciach. Rzuciła Lucowi



desperackie spojrzenie, ale tylko się zaśmiał. Dostrzegła jednak, że zmarszczył brwi, gdy skierował wzrok na własne ręce: lewym kciukiem machinalnie masował prawą dłoń.

Luc zapatrzył się na swoje ręce, jakby należały do kogoś innego. Swędzenie i łaskotanie dowodziło, że oto Piekło znalazło kolejną ofiarę.

- Nareszcie cię trafiło - zauważył Primo, gdy kobiety wyszły.

- Co takiego? - Luc spojrział zaskoczony, a jego brat Rafe uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Piekło. Nie zaprzeczaj, Luciano. Wszystkie znaki na niebie i ziemi to potwierdzają. - Dziadek wskazał na jego ręce.

- Jakie? Przecież to zwykłe swędzenie.

- Przy odrobinie szczęścia będzie trwało pięćdziesiąt lat albo dłużej.

- Téa de Luca jest moją klientką, niczym więcej.

- Czemu mężczyźni w naszej rodzinie zawsze są tacy uparci? - Primo wznosił oczy do nieba. - Czemu nawet uderzenie pioruna nie trafia do ich zakutych łbów?

Podszedł do jednej z szafek i spośród przypraw wyciągnął pojemnik opatrzony naklejką „Dziki ogórek”. Podniósł wieczko i wyciągnął ze środka kubańskie cygaro. Luc parsknął śmiechem.

- Nonna się wścieknie, kiedy cię przyłapie - ostrzegł Rafe.

- Więc wszyscy strzeżcie mojego sekretu - odparł Primo, zapalając cygaro. - Luciano, niejeden raz widziałeś na własne oczy Piekło. Ja z twoją babcią. Twoi rodzice. Wszyscy twoi kuzyni. Myślałeś, że cię ominie?

- Tak. - Luc uparcie trzymał się swojego zdania.

- Myliłeś się - stwierdził autorytatywnie dziadek.

Wydmuchał kółko z dymu.

- Nie zależy mi na ustatkowaniu się - protestował Luc. - Nie chcę małżeństwa ani dzieci.

- Wszystko z powodu tamtej historii?

- Tak. - Nie było sensu zaprzeczać.

To było najgorsze doświadczenie jego życia. Lekcja, której nie chciałby powtórzyć. Wyniósł z niej pewność, że nie ma gorszego nieszczęścia, niż kochać drugą

osobę tak bardzo, że nie można bez niej żyć. Obiecał sobie, że nigdy się tak nie zakocha. Nie zaufa bez reszty. Ryzyko jest zbyt wielkie. Rafe udzielił mu podobnej lekcji, gdy rozpadło się jego małżeństwo. Ale wypadek, po którym jego kolano nie odzyskało sprawności, zostawił większe blizny w jego psychice.

- Piekło nie jest czymś, co człowiek może unicestwić, gdy mu się nie spodoba. - Primo podkreślał słowa gestykulacją. - Nie wolno uciekać przed przeznaczeniem. Dominik, mój syn a twój stryj, Panie świeć nad jego duszą, odwrócił się od niego i to zrujnowało mu życie. Nie naśladuj go. Idź raczej drogą swoich rodziców, a odkryjesz, że każdy dzień przyniesie ci większe szczęście, niż mogłeś sobie wyobrazić.

- Co będzie, kiedy się skończy? - spytał Luc.

- Kto ci powiedział, że musi się skończyć?

- Wszystko się kiedyś kończy. Miłość jest jak hazard. Grasz o najwyższą stawkę. Jeśli przegrasz, tracisz duszę. Widziałem to na własne oczy. Nie chcę być w takiej sytuacji. Gram tylko wtedy, gdy mam pewność, że mogę wygrać.

- Nadal mówisz o wypadku - stwierdził dziadek ze współczuciem. - O tej nieszczęsnej rodzinie. Ale śmierć jest częścią życia, mój drogi Luciano, tak jak miłość. Tego się nie da kontrolować. Sam wiesz najlepiej, widziałeś to w czasie służby wojskowej. W życiu człowiek nieustannie ryzykuje, wszak nie da się wygrać bez ryzyka. Otwórz się na miłość, dopóki masz szansę.

Z ogrodu dobiegał coraz bliższy głos Nonny. Primo wetknął Lucowi cygaro do ręki i niczym młodzieniaszek odskoczył na drugi koniec kuchni. Kiedy weszła jego żona, spojrzał na nią wzrokiem niewiniątka.

- Wiesz, co ci powiedział lekarz. Cygara są zakazane - zagrzmiała od wejścia.

- Widzisz u mnie jakieś cygaro, staruszko?

- Masz mnie za idiotkę, staruszku? - Po sześćdziesięciu latach małżeństwa ich głosy brzmiały bliźniaczo podobnie.

- *Che cosa?* Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Primo Dante, prawdziwy z ciebie wilk w owczej skórze. Mój Luciano nie pali. - Nonna wzięła się pod boki. - Myślisz, że nie wiem, do czego ci służy pojemnik z suszonym dzikim ogórkiem?

- Zwykła przyprawa - usiłował się wykręcić mąż.

- Taki żarcik moim kosztem, co? Ciekawe, co powiedzą twoi przyjaciele, z którymi tak lubisz biesiadować, gdy im zdradzę, że wśród przypraw przechowujesz coś, co jest zwykłym środkiem przeczyszczającym. Kto się będzie śmiać ostatni?

- Ani mi się waż! Jestem twoim mężem i mówię ci...

Nonna zmarszczyła brwi.

- Mówię ci, że od dziś pojemnik z dzikim ogórkiem znika z mojej szafki na przyprawy.

- Tak właśnie myślałam - odparła usatysfakcjonowana.

TLR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tak miło rozpoczęty wieczór miał niespodziewanie nieprzyjemne zakończenie.

Téa spodziewała się, że dołączy do niej Luc, tymczasem zamiast niego pojawił się Sev Dante, obecnie człowiek numer jeden w międzynarodowym konsorcjum jubilerskim należącym do rodziny. Uśmiechnęła się do niego, ale on był zaskakująco ponury.

- Stało się coś złego?

- Przyjęcie urodzinowe to nie najlepsza okazja do omawiania interesów - zaczął przyciszonym tonem - ale moja żona uparła się, że powinienem porozmawiać z tobą prywatnie, a ona ma świetną intuicję w tych sprawach.

- W sprawach interesów? - zapytała, pewna, że nie usłyszy nic dobrego. - Czy chodzi o nową umowę na dostawy złota? Myślałam, że Connie wszystko ustalił.

- Powiem ogólnie, że twój kuzyn nie potraktował z należytą uwagą zastrzeżeń, które mu przedstawiłem.

- Studiował ją uważnie wnikliwie bursztynowymi oczami, które najwyraźniej stanowiły znak firmowy klanu. - Jeśli to on cię reprezentuje, fatalnie się wywiązuje ze swojego zadania. Wkrótce przejmiesz firmę, prawda?

- Za pięć tygodni - przytaknęła.

- Powinnaś wiedzieć, że najprawdopodobniej nie odnowimy umowy z wami.

Z trudem zachowała spokój, choć wiadomość ta ją przerażyła. Jeśli stracą takiego klienta jak Dantowie, przyszłość firmy stanie pod znakiem zapytania. Za nim pójdą inni, a wtedy z bogatej dziedziczki zamieni się w żebraczkę.

Zawiedzie swą rodzinę.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego chcesz się wycofać z tego interesu? - spytała z pozornym opanowaniem.

- Nie możemy zaakceptować towaru niskiej jakości. Wasze ceny raptownie poszły w górę, a jakość dramatycznie spadła. Conway twierdzi, że to efekt twoich decyzji. Poza tym zwróciła się do nas inna firma, oferująca niższe ceny za towar z najwyższej półki.

- Nikt na rynku nie ma lepszego towaru niż Billings - oznajmiła Téa, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

- Kiedyś tak było - przyznał. - Teraz już nie.

- A jeśli ja osobiście ci zagwarantuję korzystne ceny i najwyższą jakość? Czy wtedy zmienisz decyzję?

- Skoro mam z jednej strony twoje słowa, a z drugiej twarde fakty, podejmę decyzję na podstawie faktów. - Jakby dla złagodzenia nieprzyjaznego tonu, zawahał się. - Jednak, biorąc pod uwagę wieloletnią nienaganną współpracę, dam ci parę tygodni na wyjaśnienie waszych problemów.

- Dziękuję. Zbadam całą sprawę i oddzwonię w poniedziałek z informacjami.

- Ostatnia rzecz. - Sev ściszył głos i rozejrzał się konspiracyjnie.

Téa nie musiała się oglądać. I tak wiedziała, że Luc się zbliża. Odbierała go, jakby wysyłał niewidoczne dla innych fale.

- Mów, proszę.

- Twoja... znajomość... z moim stryjecznym bratem w najmniejszym stopniu nie wpłynie na moją decyzję - ostrzegł ją Sev na pożegnanie.

Luc zerknął na Téę z niepokojem. Od wyjścia z domu dziadków nie powiedziała więcej niż kilka zdawkowych słów. Pograżyła się w posepnym zamyśleniu. Światła uliczne wydobywały z cienia surowo zaciśnięte usta i zmarszczone brwi.

- Dostyc tego. Powiedz, co się stało.

Była tak zamyślona, że w pierwszej chwili uznał, iż go nie usłyszała.

- Nic, zupełnie nic. To był czarujący wieczór - odparła cicho. I dodała: - Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

- Ale co się stało? Nie zbywaj mnie. Mam oczy.

- Dobrze, powiem ci. - Odwróciła się, by go lepiej widzieć. - Odkryłam nagle, w czym tkwi mój problem. Moja niezdolność do koncentracji przysporzyła mi wiele kłopotów i to się musi skończyć.

- To chyba dobrze? - Czemu więc jego intuicją podpowiada mu, że mają poważniejszy problem?

- Wspaniale. - Uśmiechnęła się niepewnie. - W tej sytuacji nie będę potrzebowała twoich usług.

- Prawie dałem się nabrać. - Ręce na kierownicy zbieleły, tak mocno je zaciskał.

- Madam cię zatrudniła, bo moje roztargnienie mogło mnie wpędzić w tarapaty. Teraz wreszcie przejrzałam. Wiem, gdzie jest źródło wszystkich problemów.

Chętnie by jej zarzucił, że się upiła, ale nie tknęła alkoholu poza pierwszym kieliszkiem wina przed kolacją. Ktoś jej coś powiedział i Luc zamierzał dotrzeć do prawdy.

- Jestem twoim prezentem urodzinowym, pamiętasz? Wcześniej nie możesz mnie rozpakować ani zwrócić.

- Jeśli się uprzesz, możesz mnie niańczyć przez pięć tygodni. Masz po swojej stronie Nonnę i Madam, a ja jestem jedna. - Uśmiechnęła się słabo. - Jednak zapewniam cię, że tego nie potrzebuję. Nigdy w życiu nie miałam jaśniejszego oglądu sytuacji.

- A co cię tak olśniło? - spytał, wpatrując się w drogę.

- Dzisiejszy wieczór pomógł mi określić, jakie mam priorytety. Najważniejsza jest rodzina. Zrobię wszystko, żeby ją chronić.

- To chyba dobrze? - Do licha, wcale nie.

- Zamierzam cały swój czas poświęcić na przejęcie Billingsa. - Miała tak zacięty wyraz twarzy, jakiego jeszcze u niej nie widział.

- Cały czas i całą uwagę?

- Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

- To wniosek płynący z czegoś, co usłyszałaś dziś u moich dziadków?

- Owszem.

Nie wiedział, którego z krewniaków ma udusić, ale któryś z nich wyraźnie nagadał jej głupot. Kiedyś on także poświęcał się pracy bez reszty, ryzykując życiem, i omal go to nie zabiło. Dosłownie. Teraz obserwował podobny syndrom u Téi. Już wcześniej pracowała po wariacku, usiłując pogodzić zobowiązania wobec firmy z rodzinnymi. Teraz to się pogorszy. Ktoś za to zapłaci, bo nie da się bezkarnie eksploatować własnego organizmu.

Nie chciał, by Téa na własnej skórze przekonała się o konsekwencjach.

W poniedziałek rano Luc obserwował, jak Téa wdraża swoje postanowienia w życie. Wkroczyła do okazałego gabinetu Conwaya Billingsa, zatrzasnąwszy Lucowi drzwi

przed nosem. Rozmawiali dłuższy czas i chyba w niezbyt przyjemnej atmosferze, bo wyszła od kuzynka, zagryzając wściekle wargi. Kolejne trzy godziny spędziła w swoim gabinecie, analizując sprawozdania, przez które przegryzała się w minionym tygodniu. Miała minę jak chmura gradowa.

W pewnym momencie poprosiła Luca, by zostawił ją samą i wykonała szereg telefonów. Coś się działo, a on tu tkwi jak kołek. Nie był przyzwyczajony do bezczynności. Wyciągnął z kieszeni komórkę, sprawdził listę adresową i wybrał jedno nazwisko.

- Juice? Tu Luc. Chciałbym, żebyś sprawdził dla mnie kogoś. Interesuje mnie wszystko, czego się dokopiesz.

- A gdzie się podziało „dzień dobry”? - rozległ się w uchu bas dawnego współnika.  
- Zawsze miałeś dość dobrych manier, żeby mnie zapytać, co słyhać. Traktujesz mnie przedmiotowo. Najpierw ze mną porozmawiaj, potem przejdź do interesu.

- Zaproponuj to panienom, które podrywasz w barze na jedną noc - odciął się Luc. Zreferował przyjacielowi swoje podejrzenia. - Pośpiesz się. Zależy mi na czasie.

- Tego moje laski mi nie mówią.

- Za to ja będę rano cię szanował. I zadzwonię do ciebie drugi raz, kochanie.

- Wypchaj się - parsknął śmiechem Juice i rozłączył się.

- Skończyłeś? - Luc odwrócił się i zobaczył Tée, która wyszła ze swego gabinetu i stała z zawziętą miną.

- Tak - potwierdził.

- Wyjeżdżam w interesach. Masz wolne przez parę dni.

- To znaczy, że ja także jadę w podróż służbową.

- Wykluczone! W grę wchodzi tajemnica służbowa.

- Mam dyskrecję w genach.

- Tym razem jadę sama. Connie naciska, a ja jestem zmuszona ustąpić.

- Ach, skoro Connie naciska... - Poczul znajome mrowienie na karku. Niebezpieczeństwo. Zmusił ją do wycofania się do pokoju, zamknął szczelnie drzwi i dopiero wtedy skończył. - W takiej sytuacji jadę z tobą. Bez dyskusji.

Widział, że Téa hamuje się ze wszystkich sił, by nie wybuchnąć, ale niespodziewanie uśmiechnęła się i ustąpiła.

- W porządku. - Wzruszyła ramionami. - Możesz jechać.

- Gdzie i kiedy się umawiamy? - Nie potrzebował dzwonek alarmowych w mózgu. Téa nie potrafiła kłamać, więc jej podstęp szyty był grubymi nićmi.

- W środę rano.

- W porządku. Jutro jak zwykle?

- Oczywiście. - Wykrzywiła się w nieszczerym uśmiechu.

Oczywiście.

Zgodnie z przewidywaniami Luca Téa miała zamiar wymknąć się z domu we wtorek o świcie.

Już na nią czekał. Opierał się o ceglany mur strzegący szeregowej wiktoriańskiej kamieniczki należącej do rodziny de Luców. Gdy podniosły się drzwi garażu i Téa ostrożnie wycofywała z niego samochód, zablokował jej przejazd.

Dostrzegła go w lusterku i wcisnęła hamulec. Zgasiła silnik i wyskoczyła z auta. Jej obcasy energicznie stukwały po chodniku. Nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- Powinnam wiedzieć - wycedziła.

- Powinnaś - zgodził się i wyciągnął rękę. - Kluczyki.

- Nie jedziesz.

Ale Luc nie bawił się w żadną polemikę czy próbę przekonywania. Stał tam, nieugięty jak skała.

- Dobrze, ale ja prowadzę.

Nawet się nie poruszył. Wyciągnięta ręka była wystarczająco wymowna.

- Pewnie są jakieś przepisy, że ochroniarz powinien mieć wolne obie ręce do trzymania broni - burczała gniewnie, ale się poddała. - Dobrze, będę pilotowała.

- Świetna decyzja.

- Nie miałam wyboru.

- Zawsze jest wybór.

- Niby jaki? Miałam odwołać wyjazd?

- Owszem. - Uśmiechnął się ukradkiem.



Otworzył pilotem bagażnik, wrzucił swoją torbę obok walizki Téi. Nie traciła czasu. Siedziała już w środku z nosem w atlasie samochodowym.

Luc dostosował ustawienie fotela kierowcy do swoich nóg, ustawił lusterka, przekręcił kluczyk. Silnik zamruczał cicho. Znając Tée, był pewny, że co trzy tysiące mil odstawia wóz do warsztatu na przegląd okresowy.

Nie potrzebował instrukcji, w jaki sposób dostać się na obwodnicę, ale lepiej będzie, gdy uwaga Téi skupi się na trasie. Może wtedy zapomni, że przejrzał ją i zniszczył misterny plan samotnego wymknienia się w tę podróż.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała, gdy wyjechali z miasta.

- Znam cię. - Spojrzał na nią wymownie. - Jesteś beznadziejną kłamczuchą, bo wszystko po tobie widać. Pewnie brak ci praktyki.

- Mówisz tak, jakby to była wada.

- Czasem działa na twoją niekorzyść. Założę się, że twoje siostry opanowały sztukę drobnych kłamstewek nieporównanie lepiej. Powiedz, dokąd jedziemy i po co?

- Connie polecił mi, żebym objechała naszych mniejszych klientów od San Francisco do Los Angeles i poznała ich, zanim przejmę firmę.

- Nie chcę cię rozczarować, ale Sacramento nie leży pomiędzy San Francisco a Los Angeles, a skierowałaś nas w tamtą stronę.

- Nie pojedę do klientów.

- Zamurowało mnie. Czyżbyś urwała się Conwayowi?

- Zgadłeś. Zawsze chciałam urwać się na wagary.

- Nie trzymaj mnie w niepewności. Dokąd naprawdę jedziemy? - Jej bunt go rozbawił i wzruszył.

- Chcę porozmawiać z poprzednim szefem produkcji. Przeszedł na emeryturę mniej więcej w tym czasie, gdy zaczęłam pracować w Blingu. Mieszka teraz w Polk, małym miasteczku w górach Sierra Nevada.

- Nigdy nie słyszałem o tym miejscu. Czemu chcesz się spotkać z facetem?

- Chcę wiedzieć, dlaczego odszedł i jakie zmiany zostały wprowadzone od tego czasu.

Przypomniał sobie, z jakim zafrasowaniem analizowała sterty sprawozdań. Nie-trudno było wyciągnąć wnioski. Maczał w tym palce kuzynek Spryciarz.

- A myślałem, że ufasz Conniemu bez zastrzeżeń.
- Ja też - wyznała bardzo smutno.
- Ogromnie mi przykro. - Nie wiedział, jak ją pocieszyć.
- Mnie też.

Mimo sporego ruchu pokonali odległość do Sacramento w niespełna trzy godziny. Téa większość czasu spędziła na instruowaniu, pocieszaniu lub sztorcowaniu swoich siostr oraz rozmowach z Madam.

Luc w końcu skonfiskował jej komórki. Oddała je bez protestu. Dzień był cudowny: wiosna w rozkwicie, wzgórza pokryte fioletowymi łąkami łubinu oraz niebieskiej kamasji i pocętkowane kleksami żółtych astrów sprawiały wrażenie jeszcze mokrych od farby malarza. Drogi stawały się coraz bardziej kręte, wspinały się serpentynami, przyklejone do kamienistych zboczy. Widok szczytów na horyzoncie zapierał dech w piersiach.

Luc przyhamował na jednym z ostrych zakrętów i zmarszczył brwi.

- Daleko jeszcze? - spytał ostro.
- Co się stało? - Jego ton ją zaniepokoił.
- Hamulce wysiadły. Szukaj na mapie miejsca, gdzie można zjechać z drogi.
- To nie najlepsza okolica do jazdy bez hamulców. - Mimo tego komentarza zachowała imponujący spokój.

Pedał hamulca bez oporu wpadał w głąb, nie powodując żadnych skutków. Potrzebowali bocznej drogi do awaryjnego hamowania. Niestety, od strony Téi była lita skała, a od strony kierowcy ostry spadek w dół. Pokonali kolejny zakręt. Luc kilkakrotnie wcisnął hamulec, mając nadzieję, że za którymś razem zadziała.

- Trzymaj się. Będę hamował silnikiem - ostrzegł.

Zmienił biegi. Samochód podskoczył i zakołysał się na drodze. Przez chwilę Luc walczył z kierownicą, by nie wypaść z szosy. Kolejny zakręt. Wziął go szerokim łukiem, by zwolnić trochę na piaszczystym poboczu.

- Zmieniam na niższy bieg - ostrzegł.

Udzielał mu się jej spokój. To mu pozwoliło całą uwagę skoncentrować na drodze i walce z samochodem. Zmienił biegi jeszcze raz, zaciskając zęby, gdy rozległ się przeraźliwy zgrzyt. Nie wolno rozwalić skrzyni biegów. Wtedy dopiero byłoby w tarapatach. Na tym odcinku droga była w miarę prosta. Pociągnął za hamulec ręczny. Samochodem zarzuciło tak mocno, że musiał odpuścić.

- Potrzebna mi twoja pomoc - powiedział.

- Mów, co mam robić.

- Zaciągaj hamulec ręczny do momentu, gdy poczujesz opór, to unieruchomi tylne koła. Ale rób to bardzo powoli, bo stracę kontrolę nad kierownicą.

Téa wykonała polecenie, najpierw trochę za słabo, potem za mocno, wreszcie znalazła właściwy sposób. W tym samym momencie Luc dostrzegł, że po prawej stronie pojawił się szeroki pas ziemi porośniętej krzakami. W głębi były drzewa, ale na tyle daleko, że przy odrobinie szczęścia nie rozbijają się na nich. Lepszej okazji na kontrolowaną katastrofę nie będzie.

- Wjadę samochodem w te chaszczki - uprzedził. - Zakryj twarz.

- Do diabła - zaklęła.

Auto stoczyło się na pobocze, metal łamał gałęzie krzaków. Téa instynktownie cofnęła twarz przed drapiącymi karoserię badyłami. Samochód zwolnił, a Luc skierował go z rozmysłem na przydrożne zarośla. Podskoczyli, uderzenie wyrwało mu kierownicę z rąk, auto odwróciło się wokół własnej osi o sto osiemdziesiąt stopni i zaryło w miękkim poboczu. Dwa wybuchy zagłuszyły zgrzyt metalu. To otworzyły się poduszki. Powietrze wypełnił pył.

Luc kaszlał i gwałtownie pocierał podrażnione oczy. Poczłł nieprzyjemne klucie w kolanie. Wreszcie zapadła cisza, w której słycać było tylko zamierające odgłosy silnika i kręcenie się jednego z kół.

- Téó? Nic ci nie jest? - Luc przekręcił kluczyk w stacyjce.

Samochód stał krzywo, przechylony na lewą stronę. Ku jego uldze poruszyła się.

- Nic mi nie jest, tylko nie mogę zebrać myśli.

- Uderzyłaś się w głowę?

- Nie wiem. - Pomacała. - Mały guz z boku.

- Boczne szyby wypadły. Nie pokaleczyły cię?

- Nic nie widzę. Oczy mi łzawią od tego pyłu.

- Czekał. - Odgarnął na bok sflaczałą poduszkę i odsłonił Tée. - Witaj, moja śliczna.

Odgarnął z jej twarzy zabłąkany kosmyk. Nigdy nie widział piękniejszego widoku. Nie mógł się opanować i pocałował ją. Nagroda za wyjście cało z tak niebezpiecznej sytuacji. Tėja najwyraźniej czuła to samo, bo jej pocałunki były jeszcze bardziej natarczywe i entuzjastyczne.

- Wyszliśmy z tego z zadrapaniami i guzami, ale w jednym kawałku. Można powiedzieć, że to cud.

- Cudem było to, że siedziałeś za kierownicą. Gdybym jechała sama... - Wzdrygnęła się.

To wątek, który w swoim czasie należy szczególnie rozważyć. Teraz jednak pilniejsze było wydostanie się z wehikułu.

- Możesz otworzyć drzwi? Moje są zablokowane przez pień drzewa.

Szamotała się przez chwilę, ale jej się nie udało.

- Za ciężkie. Nie dam rady.

- Zrób użytek ze swoich telefonów i zadzwoń na policję.

- Nie wiem, gdzie wylądowała moja torebka.

Przekręcił się, stłumił przekleństwo, gdy kolano zaprotestowało przeciw macoszemu traktowaniu. Na podłodze wymacał torebkę.

- Wszystko się skotłowało - mruzczała, grzebiąc w niej. - Okej. Mam naszą komórkę.

Z jakiegoś powodu ten komentarz napęłnił go przyjemnym uczuciem. Wystarczyło słowo „nasza”.

Po dwudziestu minutach przyjechała policja i pogotowie. Gdy ratownik badał Tée, Luc wdał się w dłuższą rozmowę z funkcjonariuszem policji stanowej, noszącym identyfikator z nazwiskiem Sandford. Razem obejrzelili drogę, którą przebyło auto. Policjant kręcił głową z niedowierzaniem.

- Jest pan piekielnie dobrym kierowcą. To jedyny fragment drogi, gdzie mógł pan sobie pozwolić na hamowanie awaryjne. Dalej prawdopodobnie stoczylibyście się w dół zbocza, a skutki byłyby opłakane. Widziałem samochody, które tak skończyły, i z pewnością nie chciałbym znowu oglądać ich pasażerów.

- Musiałem rozbić auto. Hamulce zawiodły całkowicie. Proszę je sprawdzić szczególnie starannie. To nie miało prawa się zdarzyć.

Gdyby Téa jechała drogą wzdłuż wybrzeża, sytuacja wyglądałaby jeszcze gorzej, uświadomił sobie Luc. Na długich odcinkach droga prowadziła tuż przy skalnej ścianie, a z drugiej strony urwiste zbocze wpadało prosto do Pacyfiku.

- Podejrzewa pan, że ktoś majstrował przy hamulcach? - Sandford wyraźnie zastrzygł uszami.

- Powiedzmy, że wolę się upewnić.

- Zajmę się tym.

- I proszę nic na razie nie mówić pani de Luca.

- W tej chwili nie ma powodu jej niepokoić - zapewnił go policjant. - I proszę się zająć nogą. W miasteczku nie ma szpitala, ale mamy przyzwoicie wyposażony ośrodek medyczny. Pogotowie was tam dowiezie.

Luc nie miał siły się opierać.

Następnych kilka godzin minęło im na prześwietleniach i badaniach, po których zostali wreszcie zwolnieni. Wtedy okazało się, że Sandford wy dostał z wraku ich bagaże i dostarczył je do przychodni. Téa wysłała siostronom uspokajające esemesy, że dojechali na miejsce bezpiecznie. Nie wspomniała o wypadku. Jedna z pielęgniarek poleciła im znajdujący się w pobliżu rodzinny motel, gdzie zostali powitani z otwartymi ramionami jako cudem ocaleni. Właścicielka ulokowała ich w domku przeznaczonym dla nowożeńców, malowniczo usytuowanym pod sosnami na brzegu małego jeziora.

- Nic skuteczniej nie łagodzi bólu mięśni niż jacuzzi - zachwalała. - Niedawno je zainstalowałam na tarasie. Wy pierwsi zrobicie sobie kąpiel z bąbelkami.

Oboje z trudem pokuśtykali ścieżką w kierunku jeziora. W drewnianej chacie Téa wskoczyła prosto do wielkiego małżeńskiego łóża.

- Chodź - zachęciła. - Mamy tu miejsca jak dla pułku wojska.

Nie potrzebował namawiania. Mógł zastąpić całą armię, nie tylko pułk. Zagarnął Tęę w objęcia, ale zasnął, gdy tylko dotknął głową poduszki.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Téa budziła się powoli. Rozkoszne ciepło, które ją otaczało, działało rozleniwiająco. Bała się, że wrażenie zniknie, gdy otworzy oczy. Zasnęłaby ponownie, gdyby Luc nie zaczął się wiercić.

- Cholerne kolano - jęknął.
- Co mogę zrobić? - Poderwała się, gotowa do działania.
- Muszę wziąć tabletki. - Rozcierał bolącą nogę.
- Czy nasiadówka w gorącej wodzie ci pomoże?

Czerwonawe promienie popołudniowego słońca dawały ogniste refleksy w bursztynowych tęczęwkach, jakby płonęły w nim iście piekielne żądze.

- Na pewno, ale tylko wtedy, kiedy będziesz mi towarzyszyć.

Ma się całkiem nieźle, skoro z nią flirtuje.

- Moje towarzystwo ma być lekarstwem na twoje kolano? Nie wierzę - droczyła się.

- Przy tobie zapomnę o bólu - zapewnił.

Wyskoczyła w łóżka i jęknęła, gdy dały o sobie znać różne stłuczenia i otarcia naskórka. Jacuzzi wydało się najlepszym rozwiązaniem dla nich obojga.

- Coś cię boli? - zaniepokoił się. - Może powinniśmy wrócić do lekarza?

- Nie trzeba. Trochę się poobijałam. Uprzedzono mnie, że odczuję skutki, zanim mi przejdzie. Przyjmuję ofertę pławienia się w gorącej wodzie.

- Najpierw kolacja. Przypominam ci, że nic nie jedliśmy od rana. Ciekaw jestem, czy można zamówić kolację z dowozem na miejsce.

- Spytam w recepcji - zaproponowała.

Okazało się, że niedaleko jest pizzeria, więc Téa złożyła zamówienie, po czym wskoczyła pod prysznic. Nie zdziwiła się, gdy Luc do niej dołączył. Pozwoliła się przytulić do jego szerokiej piersi i oparła o niego głowę, wystawiając się na uderzenia gorącej wody.

- Nie powinieneś tu wchodzić bez pozwolenia - mruknęła.

- Tego też nie powinienem robić? - Namydlił ręce i masował ją okrężnymi ruchami.

- Zaraz przyjdzie dostawca pizzy.

- Chcesz jeść w jacuzzi?

- Tam będzie wygodniej niż pod prysznicem. Jak można się było spodziewać, nie dotarli na taras.

Wylądowali z pizzą na łóżku i karmili się nawzajem, aż zostało puste pudełko, które odrzucili na podłogę wraz ze zbędnymi szlafrokami.

Téa siadła na Lucu okrakiem, pokrywając pocałunkami jego szyję i ramiona.

- Mieliśmy tego nie robić - przypomniwała mu.

- Dwa palce do nieba, dwa palce do piekła, przysięgam, że nikomu nie powiem - zapewnił.

- Wobec tego ja też.

Przeturlał się, przygniótł ją sobą. Była taka chętna, rozgrzana prysznicem. Całował siniaki, które wykwitły na jej białej skórze niczym fioletowe kwiaty.

Świadomość, że byli tak blisko śmierci, podsyciała apetyt na życie.

- Gdyby nie ty... - usłyszał jakby echo własnych myśli. - Czy już ci podziękowałam, że znowu mnie uratowałeś?

- Nie musisz...

Przerwał mu pocałunek. Opadł na materac, zanurzając się w ciepłe Téi, jej nieukrywanym pożądaniu. Piekło pulsowało i płonęło, łącząc ich więzią silniejszą niż wszystkie przeszkody.

To przejściowe, okłamywał sam siebie. I bezpieczniejsze. Seks jest uczciwszy niż miłość i małżeństwo. Tu wszystko jest proste. On przecież nie jest stworzony do zakładania rodziny i brania na siebie zobowiązań na resztę życia. Wypadek, w którym uczestniczył pięć lat temu i z którego cudem wyszedł cało, boleśnie mu to uświadomił. Jednak nie miałby nic przeciwko temu, by całą wieczność spędzić z Téą w łóżku.

- Jesteś idealna. - Wodził dłońmi po wzniesieniach piersi, krągłościach bioder.

- Zabawne, to samo pomyślałam o tobie.

Teraz role się odwróciły. Popchnęła go na poduszki, masowała napięte mięśnie. Mocny i zdecydowany nacisk na przemian z ledwo odczuwalnymi muśnięciami. Chińska tortura. Luc wyciągnął ręce, by ją do siebie przyciągnąć, ale go powstrzymała.

- Nie skończyłam.

- Ale ja już nie mogę - jęknął. - Zmiłuj się.

- A udajesz takiego twardziela - przekomarzała się. - Okaż więcej samokontroli.

Zintensyfikowała pieszczoty, wydobywając z niego całkiem już bezwstydne sapnięcia i pojękiwania. Trzymał się kurczowo prześcieradeł, by nie odlecieć. Tymczasem Téa zsuwała się coraz niżej, aż natrafiła na jego męskość. Zatrzymała się. Zawahała. I zawłaszczyła jego ciało, jakby zamierzała je wchłonąć do ostatniej kropli. Nie było już między nimi barier wstydu czy konwenansu. Luc nigdy do tej pory nie czuł się w łóżku tak rozkosznie bezsilny i pożądany. Zawsze to on kontrolował sytuację. To on był dawcą przyjemności. Tym razem królowała kobieta, a on stał się jej seksualnym niewolnikiem. Ale to Téa, jego Téa, więc mógł sobie pozwolić na uległość.

Coś sprawiało, że przy tej niezwyklej kobiecie rozluźniały się jego emocjonalne supły i spadały zasłony. Nie krył się za maskami i pancerzem, dopuszczał ją do intymnej bliskości, na którą sobie zazwyczaj nie pozwalał. Czuł ją głęboko w sobie - w każdym oddechu i uderzeniu serca. Reagował na jej kobiecą siłę witalną każdą komórką ciała. Powtarzał jej imię niemal desperacko, gdy ofiarowała mu siebie hojnie i bezwstydnie. Był instrumentem, którym posługiwała się jak wirtuoz. Nie kontrolował już niczego, dał się ponieść fali i spadł prosto w jej ramiona. Po wszystkim przywarli do siebie, obejmując się kurczowo.

Ocknął się kilka godzin później, w zapadającym zmroku. Wszedł w nią, budząc ze snu. Tym razem seks zaczął się słodko i niespiesznie. Oplotła go sobą, nappełniła jego uszy westchnieniami rozkoszy, upoiła zapachem. Powoli zwiększali tempo, napiętość narastała, aż pieszczoty nabrały ostrości, westchnienia zamieniły się w nieartykułowane okrzyki, a leniwy erotyczny taniec zastąpiły twarde rytmiczne uderzenia, od których kręciło się w głowie. I znowu zasnęli wtuleni w siebie jak dwie łyżeczki z tego samego kompletu.

- Nie! - Gardłowy charkot wyrwał Tée z mocnej drzemki.



Serce jej załomotało.

- Luc?

Zaplątany w prześcieradło, szamotał się z niewidzialną marą.

- Nie zrobię tego!

Nie wiedziała, czy może go dotknąć, czy Luc nie zacznie na oślep wymierzać ciosów. Słyszała o podobnych wypadkach. Odsunęła się i powiedziała głośno i spokojnie:

- Luc, obudź się, to tylko sen.

- Trzeba zatamować krwotok - wybełkotał.

- Luc. Obudź się. Teraz! - powtórzyła głośniej.

Wyraźnie przychodził do siebie. Nie skoczył na równe nogi, ale zastygł w miejscu, a potem bezwładnie opadł na łóżko. Krople potu perliły się na jego czole.

- Niech to diabli.

- Zły sen? - spytała łagodnie.

- Tak. - Uniósł się na jednym łokciu. - Która godzina?

- Trochę po ósmej. Masz ochotę pogadać?

- Myślisz, że możemy sobie zrobić gorącą kąpiel z hydromasażem? - Nie odpowiedział na pytanie, ale brak odpowiedzi też był wymowny. - Sprawdźmy.

Taras wychodzący na jezioro osłonięty był wysokim płotem zapewniającym prywatność. Znad wierzchołków gór odbijających się w spokojnej tafli wody wyglądało słońce. Gdzieś w dali wrzasnął nur, krzyki ptaka rozniósł się echem po okolicy. Zdjęli brezent z jacuzzi i odłożyli szlafroki na ławeczkę. Poranny chłód wkrótce przestał im przeszkadzać, gdy zanurzyli się w gorącej wodzie.

Ku rozbawieniu Tégi oboje w tej samej chwili westchnęli głośno. Luc przycisnął guzik na programatorze i woda zaczęła się pienić. Rozsiedli się wygodnie, Téa oparła głowę na ramieniu Luca i pomyślała, że tak wygląda raj.

Siedzieli w leniwym milczeniu, czerpiąc przyjemność z piękna natury i swojego towarzystwa.

- Ja także mam koszmary senne - zwierzyła mu się. - Budzę się zrana z potem, śmiertelnie przerażona.

- Brzmi to znajomo. Chodzi o rodziców? - Nie zdziwiło jej, że tak szybko zdiagnozował przyczynę.

- To moja wina - wyznała prawie niedosłyszalnie.

- Co się stało? - Proste pytania niczym skalpel przecinają nabrzmiałe wrzody, docierając do źródła infekcji.

- Buntowałam się jak każda nastolatka. Poszłam na prywatkę, choć rodzice mi kategorycznie zakazali. Dowiedzieli się i jakoś mnie odnaleźli. Właśnie wysiedli z auta i zbliżali się do domu, w którym trwała szalona impreza, gdy jakaś dziewczyna zaczęła wrzeszczeć, że dorośli nas nakryli i wszyscy mamy przechlapane. Chłopak, z którym przyjechałam, wskoczył do samochodu, żeby uciec. Był pijany. Nie zauważył ich w ciemności, a oni nie zdążyli uskoczyć. Zginęli na miejscu.

- Przepraszam.

- Nie będziesz mnie przekonywał, że to nie moja wina? Wszyscy to robią.

- Po co? Przecież sama dobrze o tym wiesz. - Zaskoczył ją tym stwierdzeniem. - Teraz rozumiem, dlaczego zaczęłaś odgrywać rolę zastępczej matki przyrodnych sióstr i przedkładasz zobowiązania wobec rodziny nad własne potrzeby i marzenia. Tak będzie, dopóki nie przebaczysz sama sobie.

- A ty? Za co ty się obwiniasz?

- Swój pozna swego - westchnął.

- Odgaduję, że to ma związek z twoim kolanem?

- Tak. Jeden wypadek pokieroszował mnie na różne sposoby.

Przytuliła się do niego. Musująca woda otaczała ich ciepłym kokonem.

- I wciąż masz koszmary.

- Prześladowają mnie od pięciu lat - przyznał.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić...

- Opowiedziałaś mi o swoich przejściach, więc należy ci się prawda na mój temat. - Przez minutę zbierał myśli. - Po odejściu z wojska miałem własną agencję ochrony. Specjalizowaliśmy się w ochronie osobistej.

- To niebezpieczne.

- Na ogół nudne, ale czasami zdarzają się przerażające sytuacje. Tym razem wszystko poszło źle i skończyło się tragicznie. Klientami było małżeństwo, Sonya i Kurt Jorgenowie. Mieli dziecko, mniej więcej pięcioletniego chłopczyka. Kurt poprosił, żebym im pomógł zniknąć na jakiś czas. Wiedziałem, że coś nie gra. Mój wewnętrzny system alarmowy szalał. Przepytowałem go, ale upierał się, że to zupełnie osobista decyzja.

- Dlaczego potrzebował ochrony?

- Tłumaczył, że ma dużo gotówki. Chciał gdzieś zamieszkać incognito, zatrzeć za sobą ślady, a zależało mu na bezpieczeństwie rodziny. Wszystko razem nie trzymało się kupy, ale nie chciałem naruszać jego prywatności.

- A ta historia miała drugie dno - odgadła.

- Jak się później okazało, był przypadkowym świadkiem mafijnych porachunków jednego ze swoich pracodawców i uciekał przed zawodowymi zabójcami. O tym jednak nie wspomniał. Bandyci nas dopadli, kiedy byliśmy w drodze do kryjówki. Mieli większy i cięższy samochód, zepchnęli nasze auto z drogi. Nie byłem na to przygotowany. Nie udało mi się kontrolować katastrofy i zminimalizować skutków, jak wczoraj. Mąż zginął na miejscu. Dziecko też. Sonya była ciężko ranna.

- Umarła?

- Uratowałem ją, ale ona nie chciała bez nich żyć. Błagała, żebym pozwolił jej umrzeć. Chciała dołączyć do męża i synka.

Téa objęła Luca mocno, wkładając w to czułość i siłę. Uległ jej przyciąganiu, choć w napięciu mięśni i sztywności karku czuła, że broni się przed współczuciem, przekonany, że łączy hańbią mężczyznę.

- Kiedy odwiedziłem Sonyę w szpitalu, dostała takiego ataku hysterii, że musieli dać jej silny zastrzyk uspokajający. Krzyczała, że mnie nienawidzi, że powinienem dać jej umrzeć.

- Bardzo mi przykro. Zdajesz sobie sprawę, że była półobłąkana z rozpacz?

- Oczywiście. Tak samo wiem, że nie było w tym mojej winy, gdy trzy miesiące później targnęła się na życie. Nie udało jej się.

- I co się z nią stało?

- Nie mam pojęcia. - Przymknął oczy i bezradnie pokręcił głową. - Nie miałem odwagi sprawdzać.

- Myślisz, że już nie żyje?

- Człowiekowi, który z taką determinacją dąży do śmierci, za którymś razem zazwyczaj się udaje.

- Zrobiłeś wszystko. Wiesz, że to nie twoja wina, prawda?

Nie chciał jej wykazywać, jak paradoksalne jest owo stwierdzenie w jej ustach.

- Setki razy zastanawiałem się, co mogło pójść inaczej. Gdyby klient od początku powiedział prawdę, gdybym wcześniej wcisnął hamulec, gdybym skręcił w lewo, a nie w prawo. - Machnięciem ręki wskazał, że te rozważania nie miały wielkiej wartości. - Liczą się fakty. Przyjąłem zlecenie. Ludzie, których miałem chronić, stracili życie. Ot i cała historia. Zamknąłem agencję i zacząłem pracować w rodzinnej firmie kurierskiej.

Téa czuła, że to nie wszystko. Wypadek zostawił rany, które się nie zagoiły, i nadal kształtował jego życie. Tak samo jak w jej przypadku.

- O czym mi nie powiedziałaś?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Jego oczy były w tej chwili puste, bez połysku i wyrazu.

- Myślę, że wiesz. Coś jeszcze wydarzyło się tego dnia.

- Dobrze, powiem, choć to nie ma bezpośredniego związku z wypadkiem. Podjąłem pewną decyzję, tak jak ty, gdy postanowiłaś zastąpić sierotom rodziców.

Kobieca intuicja radziła jej, by porzucić ten temat i skierować rozmowę w innym kierunku. Wtrącić banalną dygresję, która rozładuje narastające napięcie. Jednak nie mogła porzucić tropu. Nie teraz, gdy widziała gniew i ból kładące cień na twarzy Luca. Zatrzymały mu życie każdego dnia. Drażniące swędzenie i pulsowanie w dłoni przypominało jej, że cokolwiek między nimi istnieje, zawsze będzie naznaczone reminiscencją tamtego koszmaru.

- Dokończ. Jaką decyzję wtedy podjąłeś?

- Postanowiłem, że nigdy się nie ożenię.

Odsunął ją zdecydowanie i wyskoczył z wody jak oparzony. Owinął się szlafrokiem, a drugi podał jej.

- Koniec moczenia się? - odgadła.

- W cenę noclegu mamy wliczone śniadanie. Proponuję, żebyśmy znaleźli jadalnię, bo po wczorajszej pizzy zostało tylko mgliste wspomnienie.

Téa nie próbowała się opierać. Wyłączyła hydromasaż i zawinęła się szczelnie szlafrokiem, gdyż powietrze wciąż było orzeźwiająco chłodne. Luc otworzył przeszkłone drzwi do salonu i połączył się z recepcją.

- Jedną z atrakcji domku dla nowożeńców jest śniadanie do łóżka - oznajmił. - Zaraz nam je przyniosą.

- Powinniśmy się ubrać.

- Potem wynajmę samochód. Musimy też zdecydować, czy przedłużymy pobyt o jeden dzień.

Mówił spokojnym, zrównoważonym tonem, jakby nie było wcześniejszej dramatycznej rozmowy. Być może dla niego nie miała ona takiego znaczenia jak dla niej. Téa wciąż nie widziała związku między wypadkiem a ślubowaniem i to napędzało jej logiczny i dociekliwy umysł. Gdy Luc załatwił przez telefon wynajem samochodu z wypożyczalni w Lake Tahoe, nadszedł recepcjonista z tacą.

- W kuchence mają państwo ekspres do kawy - wskazał Téi. - Zaraz zaparzę świeży dzbanek, chyba że wolą państwo herbatę?

- Wystarczy kawa.

Śniadanie zjedli na tarasie. Słońce było już wysoko i temperatura powietrza wyraźnie wzrosła. Zmiotli jedzenie do ostatniego okruszka, jakby głodowali od tygodnia. Z uczuciem zadowolenia pili aromatyczny parujący napój.

- Pytaj - powiedział Luc zrezygnowanym głosem. - Widzę, że to cię męczy.

Nie udawała, że nie wie, o co chodzi. Nie warto, skoro jest, jak wcześniej stwierdził, beznadziejną kłamczuchą.

- Jaki jest związek między wypadkiem a decyzją, żeby się nie żenić? - spytała pozornie neutralnym tonem.

- Musiałabyś lepiej rozumieć mój świat. Świat Dantów - poprawił się. - Primo i Nonna. Moi rodzice. Mój stryj i jego nieudane małżeństwo. Wszyscy odgrywają tu rolę.

- Przepraszam, ale się pogubiłam. Chodzi o to wasze Piekło?

- Przez całe życie słyszałem opowieści o tym rodzinnym darze. Mówiło się o Piekłku. Żył nim. Oczywiście, nie w biblijnym wydaniu. Miałem tego po dziurki w nosie.

- Och, Luc, przecież to tylko rodzinna legenda. Jedna z tych czarujących opowieści, którymi usypia się dzieci.

- Dla nas to dużo więcej. Widziałeś moich dziadków, którzy wkrótce skończą osiemdziesiąt lat, a wciąż są tak namiętnie zakochani jak pierwszego dnia. Moi rodzice nie są lepsi. I wszyscy bracia stryjeczni. Zapytaj, a każdy z nich powie, że znaleźli swoje szczęście dzięki Piekłku.

- A twój stryj? Powiedziałeś, że jego małżeństwo się nie udało. Czy to nie znak, że Piekło czasem się myli?

- Stryj Dominik tylko potwierdza regułę. Ożenił się z ciotką Laurą dla pieniędzy, a nie z miłości. Przez całe życie był obłędnie zakochany w pewnej projektantce biżuterii i miał z nią ognisty romans. Dziadek go ostrzegał, że deptanie uczuć się na nim zemści. Stryj i ciotka zginęli wiele lat temu, gdy ich jacht zatonął w dramatycznych okolicznościach. Planowali rozwód i walczyli z sobą jak pies z kotem. Zdaje się, że stryj zamierzał poślubić swoją projektantkę. Po śmierci Dominika dziadkowie wzięli do siebie wszystkie dzieciaki i wychowywali je sami.

- To straszne, Luc. Współczuję twoim kuzynom.

- Oczywiście, to dodało legendzie dramatycznego wymiaru. Zemsta losu za próbę uniknięcia własnego przeznaczenia i tak dalej. Czarująca bajka stała się rzeczywistością.

- A nie ma w niej ziarna prawdy?

Sięgnął ponad stołem i wziął ją za rękę. Ich dłonie splotły się mocno, poczuli znajome wibracje i łaskotanie.

- Ty mi powiedz.

- Ja... - zawahała się. - Myślę, że między nami jest bardzo silna fascynacja erotyczna. Tak zwana dobra chemia. Inne tłumaczenie byłoby nielogiczne.

- Cieszę się, że tak uważasz. Chciałbym postawić sprawę jasno. Seks między nami jest fantastyczny. Działasz na mnie jak nikt inny na świecie i mógłbym się z tobą kochać na okrągło. Jednak nie zamierzam się żenić, bo tak mi nakazuje rodzinna tradycja i stare przesady.

- Nikt cię do niczego nie zmusza.

- Jesteś pewna? - Szczypta cynizmu zaprawiła jego słowa goryczą. - Intryga rodzinna wyjaśniałaby wiele absurdalnych zbiegów okoliczności. Na przykład, dlaczego zostałem zatrudniony jako twój ochroniarz?

- Nasze babcie martwiły się, że przez swoje roztargnienie zrobię sobie krzywdę - powiedziała.

- Spędziłem z tobą dwa tygodnie i z pewnością tak bym cię nie opisał. Pierwszy wypadek postawił mnie na baczność, ale od tej pory nie widziałem w tobie ani krztyny skłonności do potencjalnej autodestrukcji. Pozostaje jedno logiczne wyjaśnienie.

- Chyba nie chcesz mi wmówić, że zadziałało Piekło? Kto mógłby się spodziewać, że między nami zaiskrzy?

- Spotkaliśmy się już wcześniej, pamiętasz?

- Wieki temu, jako dzieci.

- Lazz i Ariana też poznali się jako dzieci. Dziadek Primo zarzeka się, że już wtedy zauważył pierwsze oznaki Piekła. W rezultacie umówili się z ojcem Ariany, że w przyszłości zaaranżują małżeństwo dzieci.

- Chyba żartujesz?

- Jestem całkiem poważny.

- Podejrzewasz, że twoi rodzice i dziadkowie spostrzegli coś podobnego między nami? Prawie nie rozmawialiśmy. Zniechęciliśmy się od pierwszej chwili.

- A pamiętasz, dlaczego?

- Dokuczałeś mi. Drażniłeś się ze mną.

- Przeraziłem cię kilka razy, bo kopnął cię prąd, kiedy mnie dotknęłaś.

- To prawda! - Teraz sobie przypomniała. - Podejrzewałam, że na noc podłączają cię do kontaktu. Myślałam, że umrę ze strachu, kiedy wyskakiwałaś na mnie z nienacka, popychałaś mnie i przeskakiwała iskra. Byłeś strasznym łobuziakiem.

- Pomyśl, czy nie jest to niedojrzała wersja tego, co poczuliśmy, kiedy pierwszy raz podaliśmy sobie ręce jako dorośli ludzie?

- Przecież nie wierzysz w Piekło?

- Ja nie wierzę, ale moi rodzice i dziadkowie tak.

- Czy sugerujesz... - zaczęła z niedowierzaniem.

- Uznali, że przeznaczenie dało o sobie znać. Primo nakazał mi wówczas, żebym dał ci spokój i nie zbliżał się do ciebie przez resztę wakacji. Kiedy Primo czegoś zakazuje, lepiej nie dyskutować. Założę się, że Nonna i Madam uznały, że teraz nadeszła pora, żeby nas skojarzyć. Wszystko jest ich intrygą.

- Dobrze. Uznajmy, że masz rację. - Téa odstawiła filiżankę. - Po pierwsze, mamy wolną wolę i możemy robić to, co nam się podoba. Nie musimy tańczyć, jak nam zagrają. Po drugie, nadal nie rozumiem, co łączy Piekło z wypadkiem samochodowym i twoją deklaracją, że nigdy się nie ożenisz.

- Moja rodzina wierzy, że para, którą złączy Piekło, do końca życia trwa w nieprzyzwoicie szczęśliwym monogamicznym związku. Jeden mężczyzna, jedna kobieta, jedna miłość.

- Czy ta sama zasada nie dotyczy, przynajmniej teoretycznie, wszystkich małżeństw?

- Jorgensowie najwyraźniej byli takim kochającym się małżeństwem. Nawet ja to dostrzegłem w krótkim czasie, który spędziliśmy razem. - Luc mówił, nie patrząc na nią, pogrążony w świecie, do którego nie miała dostępu. - Pomyśl, co to dla niej znaczyło, gdy w jednej sekundzie wszystko zostało jej odebrane: mąż, dziecko, wspólna przyszłość. Jej życie skończyło się wraz z nimi. Potem była jak chodzący trup. Pusta. Złamana. I zmuszona do egzystencji pozbawionej sensu.

- Boisz się, że to samo może się przydarzyć tobie?

- Sonya oddała swoim ukochanym całą siebie. Po ich śmierci nie zostało jej zupełnie nic. Przypominała opustoszały dom, w którym ktoś zapomniał pogasić światła.

- Ale ty nie jesteś Sonyą.

- Nigdy nie oddam całego siebie drugiej osobie. Widziałem, jakie katusze przeżywał Rafe, gdy go porzuciła żona. Nie chcę się narażać na coś podobnego, dlatego nigdy się nie ożenię.

- Mylisz się, Luc. - Téa ze smutkiem pokręciła głową. - Nie chodzi o małżeństwo. Tak naprawdę postanowiłeś sobie, że nigdy nikogo nie pokochasz. Ale wiesz co? Pomyliłeś się. Zabawna rzecz z tą miłością. Wydaje ci się, że możesz ją kontrolować.



- Bo mogę.

- Błąd. Nie ty wybierasz, kiedy i w kim się zakochasz, ale to miłość wybiera ciebie.

A spada na ciebie, kiedy się jej nie spodziewasz. Czy tego chcesz, czy nie.

Z tymi słowy wstała od stołu, zostawiając za sobą coś, a raczej kogoś, kto niespodziewanie stał się dla niej najważniejszy na świecie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Parę godzin później samochód został dostarczony a Luc odebrał kluczyki i podpisał odpowiednie dokumenty. Właścicielka motelu przyszła się dowiedzieć czy przedłużą pobyt na drugą noc.

- Decyzja należy do ciebie. - Luc spojrział na Téę.

- Nie jestem pewna, ile czasu zajmie mi zlokalizowanie byłego szefa produkcji i skłonienie go do rozmowy. Poza tym Connie nie spodziewa się mnie w biurze jeszcze przez dzień, może dwa. Nie chcę żeby się dowiedział, dokąd naprawdę pojechałam.

- Na popołudnie zapowiadano burze - powiedziała hotelarka. - Górskie drogi nie są bezpieczne przy takiej pogodzie. Do jutra ma się przejaśnić.

- W takim razie zostaniemy na kolejną noc - zdecydowała Téa.

- Następni goście zapowiedzieli się na piątek - ucieszyła się kobieta. - Do tego czasu możecie państwo zajmować domek dla nowożeńców.

- Jedna noc więcej wystarczy. - Rzuciła Lucowi melancholijne spojrzenie, świadczące o tym, że na jedno jego słowo przedłużyłaby pobyt na trzecią dobę, ale widząc brak reakcji, westchnęła. - Zostawiłam dużo pracy, a dodatkowo będę musiała zająć się kupnem samochodu.

- Chętnie ci w tym pomogę - zaproponował.

- Nie będę cię fatygować.

- Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, zwłaszcza że to ja go rozbiłem.

- Czy może mi pani powiedzieć, jak dojechać do Polk? - Téa zwróciła się do właścicielki motelu, która przysłuchiwała się wymianie zdań między nimi.

Kobiety pochyliły się nad mapami, a Luc przyjrzał się uważniej swojej towarzyszce. Była odrobinę bledsza niż zazwyczaj, piegi wyraźniej odcinały się na nosie, a usta zaciskały w twardym grymasie.

- Dobrze się czujesz? - spytał, gdy już ruszyli.

- Przeżyję.

Koło południa dotarli do Polk. Luc zaproponował, by przed spotkaniem zjedli lunch w przytulnej kawiarni, która ze względu na bogactwo kwiatowej dekoracji przypominała raczej kwiaciarnię.

- Jak się nazywa człowiek, którego szukasz?

- Douglas Krendal.

- Spodziewa się twojej wizyty?

- Nie, bo chciałam go zaskoczyć. Zadzwoiłam, żeby się upewnić, że będzie w domu, ale przedstawiłam się jako telemarketerka. Trochę się boję. To facet z gatunku: co w sercu, to na języku - przyznała.

- Łatwiej ci będzie dowiedzieć się prawdy od człowieka, który nie owija w bawełnę.

- Na to liczę. - Téa machinalnie bawiła się jedzeniem. - Nie miej mi tego za złe, ale chciałam z nim porozmawiać w cztery oczy.

- Innymi słowy, to nie moja sprawa?

- Nie traktuj mojej prośby jako wyrazu braku zaufania, ale to sprawy Billingsów.

- W porządku.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Nie zamierzasz się kłócić, jak wtedy, kiedy broniłam Conwaya?

- Nie ufam twojemu kuzynowi - przyznał. - Dlatego chciałem mieć go na oku, gdy pociąga za sznurki.

- Uważasz mnie za marionetkę?

- Wiesz, że nie. Czyny świadczą o nas. - Wskazał ręką na talerz, z którego niewiele ubyło. - Skończyłaś?

- Czas działać. - Odsunęła lunch od siebie.

Dom Krendala znaleźli z łatwością. Był to niewielki budynek na zboczu jednego ze wzgórz otaczających miasto. Luc zaparkował na końcu podjazdu, został w samochodzie i obserwował z oddali, jak Téa dzwoni do drzwi, przełamuje początkową niechęć gospodarza i znika w środku.

Jego komórka wibrowała dłuższy czas, więc sprawdził, kto tak uporczywie próbuje się z nim skomunikować.

- Nadawaj, Juice - powiedział zamiast pozdrowienia. - Co wyniuchałeś o Billingsie?

- O człowieku czy o firmie?

- Teraz mnie zaciekawiłeś. Jedno i drugie oczywiście. - Słuchał ze zmarszczonymi brwiami. - Niech to diabli!

- Paskudna sprawa. Co powiesz swojej klientce?

- Wszystko.

- Nie będzie zadowolona - ostrzegł Juice.

- Będzie wściekła.

- Dobrze, że to ty przyniesiesz jej złe nowiny.

- Cykor.

Juice roześmiał się i skończył rozmowę. Dwadzieścia minut później Téa pojawiła się w drzwiach, ściskając rękę Krendala. Jej obcasy zastukały na chodniku jak werble. Wsiadając, trzasnęła drzwiami.

Była w nadzwyczaj bojowym nastroju.

- Gnojek!

- Mam nadzieję, że mówisz o kuzynku Conwayu, a nie panu Krendalu? - Luc położył ręce na kierownicy i starał się ocenić, czy Téa eksploduje teraz, czy trochę później.

- Och, mówię o Conniem, a raczej o kuzynku Krętaczu, kuzynku Oszuście, czy jak tam jeszcze można go nazwać. Jedziemy. Muszę trochę ochłonać.

W milczeniu pokonali drogę powrotną. Luc postanowił, że da Téi czas na ostudzenie emocji, zanim zaprezentuje jej swoje odkrycia. Może po przemyśleniu wszystkiego, czego dowiedziała się od Krendala, łatwiej zniesie kolejne rewelacje. Nad

górami zbierały się czarne, groźnie wyglądające chmury, pierwsze oznaki nadchodzącej burzy. Natura dostosowała się do nastroju Téi.

Gdy zaparkowali przed wynajętym domkiem, niebo było czarne jak w nocy. Luc rzucił się na poszukiwanie świec i latarek na wypadek wyłączenia prądu. Téa sprawdziła swoje komórki i skrzywiła się.

- Nie mam zasięgu. Oby tylko Madam i dziewczyny nie dzwoniły, bo wpadną w popłoch.

- Jaka jest szansa, że nie dzwoniły już pięćdziesiąt razy i nie będą dzwoniły przez najbliższy dzień? - Luc metodycznie układał na wierzchu świece i zapalki, które znalazł w jednej z szuflad w kuchni.

- Zerowa. - Spochmurniała. - Muszę się napić.

- Masz szczęście - odparł Luc, otwierając drzwi lodówki. - W apartamencie dla nowożeńców zawsze można znaleźć szampana. - Zdjął drucik z korka i triumfalnie otworzył butelkę. W szafce znalazły się także smukłe kieliszki w kształcie tulipana.

Téa ostrożnie zamoczyła usta i zakrztusiła się, gdy bąbelki uderzyły jej do nosa.

- Świetny - zauważyła ze zdumieniem. - Kalifornijski?

- Winnice Cameros - potwierdził.

- Dlatego taki dobry. - Wypiła szampana i zebrała się na odwagę. - Muszę ci coś powiedzieć.

- O Krendalu?

- Nie, o tej nocy u twoich dziadków.

- Mam nadzieję, że powiesz teraz o prawdziwej przyczynie twojego przygnębienia, gdyśmy stamtąd wyszli. Co spowodowało, że nagle rzuciłaś się w wir obowiązków, jakby od tego zależało twoje życie?

- Sev ci nic nie mówił? - spytała podejrzliwie.

- Nie. - Luc miał w tym momencie szczerą ochotę wymierzyć Sevowi kuksańca. - Co się stało?

- Ostrzegł mnie, że ma poważne zastrzeżenia do jakości naszych produktów i rozważa zerwanie współpracy.

- To tłumaczy burzliwą konfrontację z Conwayem w poniedziałek rano. - Luc nie potrzebował wiele, by powiązać fakty. Skosztował szampana, kiwnął głową z uznaniem i ponownie napełnił kieliszki. - W jaki sposób ci się z tego tłumaczył?

- Zapewniał, że to wielkie nieporozumienie i osobiście zajmie się wyjaśnieniem reklamacji Seva.

- Uwierzyłaś mu?

- Nie bądź głupi. Mój kuzyn kłamie równie nieudolnie jak ja.

- To musi być genetyczne. - Luc się zaśmiał.

- Zapewne. Powiedział, a właściwie polecił mi, żebym się nie wtrącała, a kiedy zwróciłam mu uwagę, że za pięć tygodni, a teraz już za miesiąc, cały ten bałagan będzie na mojej głowie, zapewnił, że w tym czasie dopnie wszystko na ostatni guzik. Będę mogła się rządzić, kiedy już odziedziczę firmę. Teraz on jest prezesem zarządu i to on prowadzi negocjacje z Sevem. Zakazał mi jakichkolwiek kontaktów z twoim stryjecznym bratem.

- Wtedy wypadłaś z jego gabinetu wściekła jak osa i zakopałaś się w raportach.

- Od początku coś mi się w nich nie podobało. Kiedy zdefiniowałam problem, wiedziałam, czego szukać.

- Twój kuzyn szachrował.

- Zmienił parametry produkcji i wypuszczał towar gorszej jakości, jednocześnie podnosząc jego ceny. Dane księgowe mnie zmyliły. Widzisz, ceny sprzedaży poszły w górę, koszty produkcji, gdy im się bliżej przyjrzałam, spadły, a jednak zysk pozostał na tym samym poziomie, choć zwykła matematyka wskazywała, że powinien znacznie wzrosnąć.

Luc nie miał dyplomu z księgowości, ale on także czuł, że coś tu brzydko pachnie.

- Udało mi się wyśledzić, gdzie znika zysk. Zjadały go koszty amortyzacji nowego sprzętu. Na papierze wszystko jest w porządku. Trudno się przyczepić.

Luc nie wyglądał na zaskoczonego.

- Coś mi mówi, że spodziewałaś się tego.

- Owszem. Opowiedz o Krendalu, a ja zdam ci sprawozdanie z tego, co wiem - zaproponował, dolewając jej szampana.

- Douglas Krendal był szefem produkcji. Twierdzi, że Connie się go pozbył.  
- Krendal zauważył machlojki przy zaniżaniu jakości - odgadł Luc.  
- I bez ogródek mówił, co o tym myśli. Pracował przez lata dla mojego dziadka, był niezwykle lojalny wobec firmy, więc się oburzył, gdy Connie zaczął oszukiwać klientów, oszczędzając na jakości.

- Niech zgadnę. Twój kuzyn posłał go na zieloną trawkę.  
- Zrobił to sprytnie. Wysłał go na emeryturę. Ale fakt jest faktem: usunął Douglasa przy pierwszej sposobności.

Luc wiedział, że teraz nadszedł czas na resztę złych wiadomości. Westchnął.

- Nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.  
- Proszę, tylko nie mów, że mój kuzyn cię wynajął - jęknęła z popłochem w oczach.

- Nie jestem szpiegiem. - Parsknął śmiechem. Absurdalność tego zdania go rozbawiła. Ku jego uldze, ta reakcja ją przekonała i przywróciła atmosferę zaufania. - Poprosiłem byłego współpracownika, żeby powęszył trochę, dokopał się do informacji na temat Conwaya Billingsa. I muszę ci powiedzieć, że nie wygląda to dobrze.

- Chcę poznać całą prawdę.  
- Mówiąc krótko, Connie jest bez grosza.  
- Jakim cudem? Tak się składa, że wiem, ile zarabia w Blingu, i to są naprawdę przyzwoite pieniądze.

- Dostaje pensję i dużą premię aprobowaną przez radę nadzorczą, ale nie ma procentowego udziału w zyskach firmy, bo nie jest jej właścicielem. Wszystkie swoje kapitały wpakował w nowe przedsiębiorstwo, które zamierza niedługo uruchomić. To nie koniec.

- Zdefraudował pieniądze firmowe?  
- Nie pieniądze. - Dramatycznie zawiesił głos. - Maszyny.  
- Ten nowy sprzęt, który kupował za zyski Blinga. Nie rozumiem. Na co mu maszyny?

- To tylko hipotezy, ale gotów jestem się założyć, że się potwierdzą. Myślę, że zamierza prowadzić identyczną działalność. Wejdzie na rynek jako twoja konkurencja.

- A towar kiepskiej jakości... - Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

- Niezadowoleni klienci będą szukać innego dostawcy. Jestem przekonany, że dostaną oferty od kuzynka. - Luc łyknął resztkę szampana i odstawił kieliszek. - Wykona testament dziadka i przekaże ci rodzinną firmę, ale wcześniej sprawi, że dostaniesz pustą skorupę, z której przetransferował do siebie wszystko, co stanowiło o jej wartości: kontrakty, klientów, nowe maszyny. A kiedy będziesz na granicy bankructwa...

- Zaproponuje, że odkupi Blinga za psie pieniądze - skończyła Téa. - Nowa firma przejmie nazwę oraz markę i wszystko, czego dziadek mu nie zapisał.

- To właśnie podejrzewam.

- A ja podejrzewam, że twoje podejrzenia są prawdziwe. - Zastanowiła się przez chwilę. - Problem w tym, co mam z tą wiedzą zrobić. Connie miał dużo czasu, żeby wszystko zaplanować. Od dawna się przygotowuje do sfinalizowania swojej operacji. Przez najbliższe cztery i pół tygodnia ma wolną rękę, a ja muszę czekać i bezsilnie obserwować, jak okrada mnie z mojego dziedzictwa.

- Nie wie, że go rozgryzłaś. Masz jeszcze czas, żeby uderzyć z zaskoczenia.

- Nie mam żadnych uprawnień, dopóki on kontroluje firmę. Gdybym mogła przejąć zarząd... - Znieruchomiała. Oczy jej rozbłysły. Skierowała na Luca wzrok, jakby chciała oszacować jego przydatność do planu, który wykluł się w jej głowie. - Ależ jest sposób na przejęcie firmy!

- Świetnie! - Sięgnął po kieliszek, by wychylić toast, ale szampan się skończył.

- Mam rewelacyjny plan. Potrzebuję twojej pomocy, żeby go zrealizować.

Plan. Akcja. Zadanie wykonane. To język, który Luc najlepiej znał i rozumiał.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Miałam nadzieję, że się zgodzisz. - Uśmiechnęła się szeroko, a on poczuł, że może za bardzo się pospieszył z deklaracjami, tyle w niej było determinacji i woli walki.

- Powiedz mi tylko, czego po mnie oczekujesz.

- To proste. Ożeń się ze mną.

Luc patrzył na Téę z otwartymi ustami.

- Co takiego?

- Dobrze zrozumiałaś. - Trzeba przyznać, że miała odrobinę wstydu i zaczerwieniła się. - Chciałabym wyjść za ciebie. Oczywiście, chwilowo.

- Oczywiście. - To jedno słowo aż ociekało ironią.

- Luc... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Chyba już mieliśmy dyskusję na ten temat. Której części zdania: „Nigdy się nie ożenię” nie zrozumiałaś? „Nigdy” czy „ożenię”? - Ogarnął go oślepiający gniew.

Miał ochotę wrzeszczeć i walić pięściami w worek treningowy.

Jakby w odpowiedzi przez niebo przetoczył się odgłos dalekiego gromu.

- Daj mi wyjaśnić - wtrąciła, wykazując albo niezwykłą odwagę, albo nieumiejętność odczytania jego obecnego nastroju. - W testamencie jest klauzula, że w chwili, kiedy wyjdę za mąż, dziedziczą Billingsa natychmiast, pod warunkiem, że skończyłam dwadzieścia jeden lat.

- Fantastycznie. Życzę powodzenia w łowach.

- Nic nie rozumiesz.

- Ależ rozumiem świetnie. To ty masz problem z trzeźwą oceną rzeczywistości. Moja odpowiedź, panno de Luca, nie brzmi „nie”, ale „za żadne skarby nie”.

- Udam, że tego nie słyszałam. - Teraz bojowy temperament wziął w niej górę nad dyplomacją. Za oknem niebo rozdzierały błyskawice. - To świetne rozwiązanie dla nas obojga.

- Dobrze, zaintrygowałaś mnie. W jaki sposób ożenek z tobą ma rozwiązać moje problemy?

- Cała twoja rodzina wierzy, że jesteśmy kochankami dobranymi przez Piekło, prawda?

- Na moje nieszczęście.

- Damy im dokładnie to, czego oczekują. Ślub pokrewnych dusz. Wypełnione przeznaczenie. A za kilka miesięcy, powiedzmy sześć albo siedem, oznajmimy, że nie pasujemy do siebie i weźmiemy rozwód.

- W mojej rodzinie nie ma rozwodów.

- A Rafe?

- Technicznie rzecz biorąc, jest wdowcem.



- Przepraszam. Nie wiedziałam. - To ją zbiło z tropu, ale tylko na chwilę. - Odbiegamy od tematu.

- Téó, świetnie wiem, do czego dążysz i radzę ci, daj sobie spokój.

Podszedł do okna i zapatrzył się w szalejącą burzę. Pioruny przecinały czarne niebo jeden za drugim, powielone w pociemniałej wodzie jeziora. Gromy odbijały się od dalekich gór zwielokrotnionym echem. Oczywiście, widział logikę w jej rozumowaniu, ale dostrzegał też pułapki.

Pułapka pierwsza - rosnące z każdym wspólnym dniem pożądanie, zapuszczające swe korzenie coraz głębiej w serce, pętające wolę i umysł. Piekło - jeśli wierzyć legendzie - nie wypuszcza swych wybrańców.

Pułapka druga - jak ma żyć, jeśli nie będzie umiał się bez niej obejść?

Pułapka trzecia - ciąża.

A jeszcze inna - miłość.

W oknie widział jej odbicie. Bawiła się pustym kieliszkiem, przygarbiona, nagle pozbawiona energii. Gniewał się na nią, a jednak nieprzytomnie jej pożądał. Odwrócił się, wzdychając ciężko.

- Zakładasz, że jeśli się pobierzemy, odczekamy rozsądny czas i rozejdziemy się, moja rodzina zostawi mnie w spokoju. Przystanie mnie karmić zabobonami o Piekło. Czy dobrze streściłem twój plan?

Z zapalem pokiwała głową.

- Tak uważam. Są przekonani, że to ja jestem przeznaczoną ci przez los narzeczoną, więc nie będą oczekiwali ponownego ożenku.

- Nie. - Założył ręce na piersi. - Będą mi do znudzenia wiercić dziurę w brzuchu, żebym do ciebie wrócił.

- O tym nie pomyślałam - przyznała smętnie.

- Nie znasz mojej rodziny.

- Ale jeśli ja ponownie wyjdę za mąż, będą musieli zostawić nas w spokoju, prawda?

- Wyszłabyś za mąż drugi raz?

Tego nie wziął pod uwagę.

- Oczywiście - odparła. - W przeciwieństwie do ciebie nie boję się miłości. Widok twojej rodziny, tych wszystkich kochających się par utwierdził mnie w przekonaniu, że tego chcę. Kiedy zabezpieczę finansowo siostry i Madam, będę mogła pomyśleć o sobie. Może się zakocham i poślubię człowieka, który zakocha się we mnie. Urodzę dziecko, jak Kiley czy Francesca.

Złość zalała mu oczy. Nie był w stanie myśleć. Nie mógł oddychać. Wyobraził sobie Tée w ciąży. Z jego dzieckiem. A potem obraz się zdeformował i nagle to nie było jego dziecko. Pojawił się przy niej obcy mężczyzna. Prawowity mąż. Człowiek, który ma prawo dotykać jej ciała, wziąć ją do łóżka, posiadać ją.

Wizja dwóch splecionych ciał - to za wiele.

Najpierw usłyszał warczenie, dopiero potem uświadomił sobie, że ten dźwięk pochodzi z jego gardła. Jeszcze przed chwilą miał przed sobą szalejącą burzę, a oto burza szalała w nim. W kilku susach znalazł się po drugiej stronie pokoju. Złapał Tée i uwięził ją w objęciach.

- Co robisz? - zaprotestowała, ale się nie broniła.

- Znasz odpowiedzi na wszystkie pytania, więc sama się domyśl.

Kilka koślawych susów i już byli w łóżku. Luc zamknął jej usta pocałunkami, a może raczej odpowiedział w ten sposób na nienazwane wątpliwości. Nie pamiętał, kto i kiedy zerwał z nich ubranie, ale oto byli oboje nadzy i w świetle błyskawicy wydawali się sylwetkami wyciętymi z białego papieru. Jedynymi barwnymi plamami były rude włosy dziewczyny płonące na tle poduszki i niebieskie oczy, w których odbijały się gniewne rozbłyski burzowego nieba.

Za oknem rozpętało się istne pandemonium, gwałtowny deszcz uderzył o szyby, a ludziom splecionym na łóżku udzieliło się szaleństwo natury. W ich akcie była odwieczna walka płci, zderzenie dwóch żywiołów, męskiego i żeńskiego, przeciwstawnych jak woda i ogień, które jednak znajdują wspólny rytm i łączą się w jedno. Był to seks dziki, gwałtowny, nie znający litości i nie oczekujący jej, do ostatecznego wyczerpania, do orgazmu równie gwałtownego jak wiosenna burza.

Luc czuł pod sobą, jak Téa wygina się w łuk, słyszał krzyki rozkoszy i to wystarczyło, by szczytować z jej imieniem na ustach. Posiadł ją i naznaczył, napiętnował jako swoją własność. Dopiero to dało mu uspokojenie.

Odgłosy burzy stawały się coraz dalsze, gdy okrył ją i czule ukołysał w ramionach do snu. Ich nogi i ręce splotły się, przestało być ważne, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie. Leżał zasluchany w równy rytm serca kochanki. Wreszcie zasnął.

Téa obudziła się, czując się lepiej niż kiedykolwiek w życiu. Nie miała pojęcia, co wczoraj wstąpiło w Luca, ale miała nadzieję, że bestia obudzi się w nim znowu. I to wkrótce. Przeciągnęła się, budząc śpiącego obok Luca.

- Mamy jeszcze jacuzzi? - mruknął, nie otwierając oczu.

- O ile burza nie zmyła tarasu do jeziora.

- Wciąż pada?

- Nic nie słyszę. A światło słoneczne świadczy, że jest piękna pogoda.

- W takim razie proponuję, żebyś mnie zaniósła. Tyle razy nosiłem ciebie, że możesz choć raz się odwzajemnić.

- Nie pomyślałam o tym - usprawiedliwiła się z fałszywą słodyczą.

- No chodź. - Poderwał się. - Wymoczymy się trochę przed drogą.

- A szlafroki?

- Szlafroki niech się same o siebie zatroszczą. Nie będziemy ich potrzebować.

Wkrótce rozsiedli się w gorącej spienionej kąpieli, wystawiając obolałe mięśnie na uderzenia biczów wodnych. W porannej ciszy z domku dobiegł jakiś hałas. Téa wyciągnęła szyję, usiłując zlokalizować jego źródło.

- A jeśli obsługa przyniesie nam śniadanie na taras?

- To ktoś się zaczerwieni ze wstydu.

Wtedy rozpoznała głosy. Głosy, które wcale nie należały do tego miejsca. Powinny się znajdować kilka godzin jazdy stąd. Spojrzała osłupiałymi oczyma na Luca, by dostrzec, że on także jest zaskoczony, bo oto na tarasie zjawiała się Madam we własnej osobie, a za nią wkroczyły wszystkie trzy siostry. Charakterystyczny głos starszej damy rozległ się tuż nad nimi.

- *Madre del Dio!* Dziewczęta, nie patrzcie!

Ale, oczywiście, dziewczęta popatrzyły.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Luc przytrzymał drzwi auta i poczekał, aż Téa zajmie miejsce pasażera. Potem zajął miejsce za kierownicą, ale nie włączył silnika.

- Skąd Madam wiedziała, gdzie nas szukać?

- Agent ubezpieczeniowy zadzwonił do domu w sprawie odszkodowania za samochód. Madam odebrała, a potem próbowała się ze mną skomunikować, żeby wyjaśnić, co się stało. Nie była w stanie się połączyć. Pamiętasz, nie miałam zasięgu. Wpadła w popłoch i wyobraziła sobie, że ciężko ranni leżymy gdzieś w szpitalu. Albo, co gorsza, w kostnicy. Chociaż skąd jej przyszło do głowy, że jestem wystarczająco zdrowa, aby zadzwonić do ubezpieczyciela, a zbyt chora, żeby odebrać telefon od niej, tego doprawdy nie umiem wytłumaczyć. Madam bywa na bakier w logiką. - Urwała i przygryzła wargi. - Boże wielki, pewnie jej się to skojarzyło z wypadkiem, w którym zginęli moi rodzice. Musiała umierać ze strachu.

- To nie tłumaczy, w jaki sposób nas wytropiła.

- Towarzystwo ubezpieczeniowe miało informację, gdzie znajduje się samochód. - Téa, zajęta zapinaniem pasa i szukaniem miejsca na torebkę, nie przywiązywała wielkiej wagi do tej kwestii. - Madam zapewne znalazła telefon do najbliższej placówki medycznej. Przynajmniej ja bym tak postąpiła na jej miejscu. Stąd prosta droga do motelu. - Podniosła głowę. - Co to, przesłuchanie trzeciego stopnia?

- Powiedzmy oględnie, że jej pojawienie się i przyłapanie nas na golasa może być dla kogoś bardzo dogodne

- Dogodne? Też mi coś! Dla twojej informacji Luciano, to, co zaszło rano na tarasie, było najbardziej zawstydzającym momentem w całym moim życiu. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię.

- Jak przebiegła rozmowa z babcią? - zapytał.

- Fatalnie. Podobnie jak twoja rozmowa z dziadkiem.

- Do diabła!

- No właśnie. Co ci powiedział Primo?

- Że od tej chwili jesteśmy formalnie zaręczeni - poinformował Luc, uważnie obserwując reakcję Téi

- Żartujesz?

- Niestety, nie. Masz jakiś pomysł, jak się z tego wykałapućkać?

- Bardzo prosty. Powiedz dziadkowi „nie”.

- Akurat - rzucił tylko i przekręcił kluczyk.

- Poddajesz się? I tak bez niczego się pobierzemy.

- Czy nie tego chciałaś?

- Chciałam cię przekonać, a nie postawić pod ścianą. Bądź rozsądny, Luc. Nikt nie może cię zmusić do małżeństwa ze mną.

- Naprawdę? A co powiedziała Madam, przyłapawszy nas, można powiedzieć, *in flagranti*? - Zwinął dłoń w trąbkę i przyłożył do ucha. - Nie słyszę?

- Że jest rozczarowana - mruknęła Téa.

- Ja też byłem rozczarowany. Zamierzałem zrobić dobry użytek z tego jacuzzi.

- Powiedziała, że się zawiodła. I że to do mnie niepodobne. Egoistyczne. Impulsywne. I że daję zły przykład dziewczynkom.

- Jestem innego zdania. To było bardzo w twoim stylu. Wielkoduszne. Z polotem. A te trzy wiedźmy, które nazywasz swoimi siostrami, mogą dawać innym lekcje latania na miotle. Szczególnie panna Wampirzyca.

- Ma na imię Katrina. Jej czarny strój i ćwieki w brwiach to tylko faza, typowa dla wielu nastolatek. Przejdzie jej.

- Przerazająca.

- Wcale nie. Jest wspaniała. Wszystkie moje siostry są wspaniałe.

- Jedna z nich o mało nie wpakowała mi języka do gardła. Na szczęście pojawiłaś się w porę. - Spojrzał na Téę zaczepnie. - Niech zgadnę. Nie powinienem tego traktować jako prowokacji pod swoim adresem. Twoja siostra zachowuje się tak wobec wszystkich mężczyzn.

- Davida jest bezpośrednia, wylewna i zmysłowa - burknęła urażona Téa.

- Wylewna. Postaram się zapamiętać. Zdecydowanie działa na męską podświadomość.

Téa westchnęła, a Lucowi zrobiło się wstyd, że zachowuje się jak gbur i brutal. To nie jej wina, że jej siostry to małe diablice. Nikt ich nie dyscyplinował za młodu, a teraz widać skutki.

Téa poczuwa się do winy również za to.

- Mam pomysł, jak wyjść z tego z twarzą. Podrzucimy dziewczyny do moich dziadków. Wystarczy tydzień, a będą chodziły jak w zegarku. A kuzyna zakneblujemy, zwiążemy i zamkniemy w jakimś schowku, żeby ci nie przeszkadzał w zarządzaniu firmą - zasugerował.

- A co zrobimy z oczekiwanymi przez wszystkich zaślubinami? - Uśmiechnęła się słabo. - Jak sobie poradzisz z tym drobiazgiem?

- Trafiony zatopiony. - Poddał się. - Nie mam pojęcia, jak się z tego wykręcić.

- Ja wiem.

- Świetnie. Podziel się tą wiedzą.

- Po powrocie do San Francisco porozmawiam z Primem. Wytlumaczę, że wyciągnęli pochopne wnioski z niewinnej sytuacji.

- Pochopne wnioski - powtórzył. - Dwa golasy w jednej wannie to ma być niewinna sytuacja?

- Fatalnie się złożyło, że właścicielka powiedziała Madam, że zajmujemy apartament nowożeńców. Babcia uznała, że uciekliśmy, aby się potajemnie pobrać. Musiałam ją wyprowadzić z błędu.

- Pewnie zepsułaś jej humor. - Komórka Luca rozdzwoniła się. Wyjął ją z kieszeni. - Sprawdź kto.

- Dzwoni Primo - odparła, patrząc na ekran.

- Super. Odbierz, proszę. Masz okazję mu wyjaśnić, dlaczego się nie pobierzemy.

- Dobrze - zgodziła się potulnie, choć z mniejszym przekonaniem niż poprzednio. - Cześć, Primo, tu Téa. Tak, Luc jest ze mną. Prowadzi, dlatego nie mógł odebrać. - Zamilkła i przez dłuższą chwilę powtarzała co jakiś czas „ach” lub „aha”.

- Powiedz mu! - podszeptował Luc.

- Tak, tak. Ach! - Odchrząknęła wreszcie. - Problem w tym, że Luc i ja wcale się chcemy brać ślubu. Tak. Rozumiem. Racja. Nie, nie, masz rację. Lake Tahoe jest niedaleko.

- O czym ty do diabła mówisz? Powiedz „nie” i odłóż słuchawkę! - złościł się Luc.

- Poczekaj sekundkę, Primo. - Téa zakryła ręką mikrofon i zwróciła się w stronę kierowcy. - Mógłbyś uważać, jak prowadzisz? Jeśli nie jesteś w stanie jechać prosto, zjedź na pobocze. Zaczynam się denerwować.

- Ty się denerwujesz? - huknął. - Dawaj mi ten telefon.

- Nie chce rozmawiać z tobą, tylko ze mną. Tak, tak, Primo. Już jestem. - Przygryzła wargi. - Jesteś pewien, że to opublikują? Ale zrozumiałeś, że nie chcemy brać ślubu? Powiedziałam to jasno? Nie, nie. Wszystko w porządku. Powtórzę mu. Do zobaczenia jutro. Pa.

Luc gwałtownie zwolnił i zjechał na pobocze. Przystanął i wyłączył silnik.

- Powiedziałeś mu?

- Sam słyszałeś.

- A co on na to? Ustąpił?

- W pewnym sensie.

- Nadal jesteśmy zaręczeni?

- Nie na długo.

- W porządku. - Włączył silnik i na powrót wjechał na szosę. Dwie mile dalej dotarło do niego, że właściwie nic mu nie wyjaśniła. - Tak z ciekawości, co znaczy „w pewnym sensie” i „nie na długo”?

- W drodze powrotnej musimy zrobić mały objazd.

- Dokąd?

- Reno, Las Vegas albo Lake Tahoe, wybieraj.

Luc wyrzucił z siebie potok soczystych przekleństw, ponownie zjechał na pobocze i zatrzymał się.

- Coś ty narobiła!

- Bo ty nic nie rozumiesz.

- Więc mi wyjaśnij.

- Pamiętasz „Donosiciela”? Ten brukowiec, który narobił tyle kłopotów twoim kuzynom? Nie wiem w jaki sposób, ale wpadli na trop naszej wycieczki. Zamierzają nas opisać jako młodych kochanków, którzy uciekli, żeby w tajemnicy przed rodzinami wstąpić w związek małżeński.

- Mam swoją koncepcję, kto ich na nas napuścił. Która z twoich sióstr odczuwa największy brak gotówki?

- Vida, ale nie wierzę, że sprzedała nas pismakom.

- Ja jednak będę się upierał przy tej wersji.

- Moja siostra nigdy... - Zawahała się i wróciła do poprzedniego wątku. - „Donosiciel” zamierza opublikować tę historię jutro rano. Primo powiedział, że jeśli się ze mną nie ożenisz, moja przyszłość na stanowisku prezesa zarządu Blinga będzie wątpliwa. Stracę szacunek klientów i pracowników. Zamiast romantycznej panny młodej będę cynicznym i rozwydrzonym babsztylem, który bierze do łóżka ochroniarza.

Luc skrzywił się z niesmakiem. Primo jak zwykle ma rację. Dziennikarze, teraz rozczuleni sentymentalną historią, chwilę później będą gotowi rozszarpać Téę na strzępy. Jeśli ich podejrzenia na temat Conwaya były prawdziwe, drogi kuzynek zadba o to, by zniszczyć reputację Téi. Luc czuł się zapędzony w kozi róg i nie widział wyjścia z sytuacji.

- Jest jeszcze jeden mały problem - dodała Téa.

- Jeszcze jeden? Powiedz. Gorzej być nie może.

- Primo oznajmił, że jeśli drogie ci jest nazwisko Dante, ożenisz się ze mną. W przeciwnym razie nie pokazuj mu się na oczy. Chyba nie mówił tego serio?

- Poznałaś mojego dziadka, prawda? - warknął.

- Przecież wiesz, że tak.

- W takim razie znasz odpowiedź. - Wystartował i dodał gazu.

- I co teraz? - spytała niepewnie.

- Jedziemy do Lake Tahoe i bierzemy ślub.

W południe przekroczyli granicę Nevady. Z łatwością zdobyli pozwolenie na zawarcie małżeństwa. Mimo całego pośpiechu i niechęci do wymuszonej uroczystości to



Luc nalegał na kupienie stroju odpowiedniego dla nowożeńców. Dobrali garnitur dla Luca, a Téa zdecydowała się na białą spódnicę do pół łydki i wcięty zakiecik z perełkami. Gdy sprzedawca pomagał jej dobrać koronkową mantylę na głowę, Luc zniknął na chwilę, po czym pojawił się z bukietem kolorowych róż i pudełeczkiem zawierającym dwie proste złote obrączki.

Mając do wyboru zaślubiny w kaplicy lub ceremonię w ukwieconym ogrodzie, Luc bez wahania wybrał ogród. Téa pomyślała, że miejsce to przypomina mu posiadłość dziadków i dlatego jest bliższe jego sercu.

Wypowiedzieli słowa przysięgi w altanie obrośniętej girlandami czerwonych pnących róż i po dwudziestu minutach stali się formalnie mężem i żoną.

Téa niewiele zapamiętała z drogi powrotnej do San Francisco. Oboje prowadzili lekką zabawną rozmowę i starannie omijali poważne tematy. Pod koniec podróży nie umiałyby streścić jej głównych wątków. Pierwsza refleksja przysłała, gdy Luc minął zjazd do jej domu.

- Nie podrzucisz mnie? - zdziwiła się.

- Dokąd? Przecież jesteśmy małżeństwem, już zapomniałaś? Twoja babcia i siostry bardzo by się dziwiły, gdybyś noc poślubną spędziła z nimi, a nie ze mną.

- Naturalnie. Nie pomyślałam - wybąkała, czując się jak kompletna idiotka.

Luc zaparkował samochód pod swoim domem, zapowiedział, że odda go jutro, po czym wziął bagaże, gdy ona zgarnęła rozrzucone drobiazgi. W windzie oboje milczeli, jakby skończyły im się tematy. Zaraz po wejściu do mieszkania Luc wrzucił torbę do swojej sypialni, a walizkę Téi postawił w drzwiach do pokoju gościnnego.

Przekaz był jasny i wymowny.

- Napijesz się? - zaproponował uprzejmie.

- Jeśli podasz wino, nie odmówię.

- Czerwone?

- Proszę. - Napełnił kieliszek dla niej, a sobie nalał whisky na trzy palce. - Zupełnie jak poprzednio - skomentowała. - Jediną różnicą jest świadectwo ślubu.

- To bardzo duża różnica - zauważył ponuro.

Odłożyła bukiet na stolik przy kanapie. Z przykrością zauważyła, że róże wyraźnie zmarniały, co pasowało do zwarzonego nastroju. Od jutra znów wszystko będzie jak dawniej. Ona zajmie się swoją rodziną, Luc wróci do kawalerskiego trybu życia i panicznego lęku przed stałym związkiem.

- Widzę, że coś cię gryzie - zauważyła. - Wyrzuć to z siebie, żebyśmy nie szli spać poróżnieni.

- Wszystko ułożyło się po twojej myśli.

- Sądzisz, że to zaplanowałam? - Obawiała się podobnego zarzutu, jednak zabołało ją, gdy z jego ust usłyszała potwierdzenie.

- Przeszło mi to przez myśl.

- Powinieneś się wstydzić. Wyjaśniłeś, jaki masz stosunek do małżeństwa. Ja go zaakceptowałam.

- A jednak następnego dnia włożyłem ci obrączkę na palec.

- To twoja rodzina naciskała na małżeństwo, Luc. Twoja, nie moja. Madam była po prostu zawiedziona. Trudno, jakoś bym to przeżyła. Primo postawił ultimatum.

- Zapominasz, że wcześniej był kontrolowany przeciek do „Donosiciela”. Na palcach jednej ręki można policzyć osoby, które mogły go zrobić.

- I wszystkie noszą nazwisko de Luca?

- Tak sądzę.

- Mówiłeś, że nie potrafię kłamać. Popatrz na mnie, Luc. Nie uknułam intrygi, żeby cię zmusić do małżeństwa - oznajmiła głośno i z naciskiem. - Nie prosiłam nikogo z mojej rodziny, żeby poddał temat „Donosicielowi”. Nigdy w życiu nie zrobiłabym ci takiego świństwa.

- W porządku - rzekł niechętnie.

- Wierzysz mi?

- Wierzę.

- A jednak szukasz kozła ofiarnego?

- Tak. Nie. Tyle w tym twojej winy, ile mojej.

- Dziękuję i za to.

- Chciałbym postawić sprawę jasno. - Oczy mu pociemniały, połyskiwały w nich tylko okruszyny złota. - To niczego nie zmienia.

- Co masz na myśli?

- Dobrze wiesz. Nasze małżeństwo jest przejściowym układem. Za kilka miesięcy odejdę.

- Wiem - potwierdziła smutno. Zawsze można mieć nadzieję, ale nadzieja często zawodzi. Ostrożnie odstawiła kieliszek. Nagle poczuła się straszliwie zmęczona. - Chyba jednak nie będę pić. Jeśli pozwolisz, pójdę się położyć.

Zrobił gest, jakby chciał ją zatrzymać. Czubkami palców musnął jej ramię. Płomień pożądania ożył, strzelił w górę, przypomniał o istnieniu Piekła. Wiele by dała, by znaleźć się w jego ramionach. Gotowa była błagać o szansę.

- Nie, proszę. Nie mogę. - Potrząsnęła głową i mu się wymknęła.

Pozwolił jej odejść.

Przygotowywała się do snu jak robot funkcjonujący na autopilocie. W końcu wśliznęła się między prześcieradła i zwinęła w kłębuszek. Kilka godzin temu wyszła za mąż. Dziś jest jej noc poślubna. Nigdy sobie nie wyobrażała, że spędzi ją samotnie. Nie wiedziała też, że mężczyzna, którego pokocha, nie będzie mógł się doczekać chwili, gdy zerwie obrączkę z palca i wykreśli ją ze swego życia.

Łzy zapiekły pod powiekami. Schowała twarz w poduszkę, by stłumić łkanie. Nie słyszała, kiedy otworzyły się drzwi. Nie słyszała nierównych kroków Luca. Nagle uniosły ją w powietrze silne ramiona, a ona zapłakała bezwstydnie, przytulona do szerokiej piersi.

- Co robisz? - wykrztusiła.

- To moja noc poślubna - odparł, jakby czytał w jej myślach. - Byłbym głupi, gdybym spędził ją w pojedynkę.

W nocnej ciszy jedwabna koszulka z szelestem osunęła się na podłogę. Jego ręce znalazły ją w ciemności. Głaskały, przemawiały słowami, przed którymi wzbraniały się usta. Z każdą pieszczotą odkrywał się przed nią, pozwalał, by górę wzięły emocje. Tam gdzie zeszłej nocy była walka i żądza, teraz królowała czułość i bliskość. Orgazm był równie silny, ale miał inną jakość. Ogarnął nie tylko ciała, ale i dusze.

Tulili się przed snem, splatając ręce. Gdzieś z ciemności przypląnął szept. „Dobranoc, moja żono z Piekła”.

- Dobranoc, mężu - padło w odpowiedzi. To nie ona mówiła, to nie mogła być ona.  
- Och, Luc, tak bardzo cię kocham.

Kiedy się obudziła, była sama. Zapach świeżo parzonej kawy zwabił ją do kuchni. Obok dzbanka znalazła kartkę: „Nie wychodź do Blinga przed moim powrotem”. Słowo „nie” było podkreślone. Dwie filiżanki później zdała sobie sprawę, że musi opracować plan działania, jeśli chce sprawnie przejąć firmę. Connie z pewnością wszystko przemyślał w najdrobniejszych szczegółach.

Wzięła prysznic, zjadła śniadanie i przygotowała informację dla prasy o zmianie w zarządzie firmy, cyzelując każde zdanie. Właśnie skończyła, gdy wrócił Luc. Nie był sam. Towarzyszył mu czarnoskóry olbrzym, który przedstawił się jako Juice.

Jej ręka zniknęła w wielkiej łapie.

- Miło cię poznać. Luc ciągle o tobie mówi.  
- Mam nadzieję, że tylko dobre rzeczy.  
- Tak dobre, że zastanawiam się, dlaczego marnujesz na niego czas, gdy ja jestem wolny.

- Może gdybym spotkała cię wcześniej... - Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- Dziękowałabyś swojej szczęśliwej gwiazdzie - zapewnił.

- Przestań podrywać moją żonę - przerwał im Luc. - Czas na raport. Najpierw załatwmy sprawę sprzętu, który Connie kupił na koszt Blinga. Dodam tylko, że w mojej firmie Juice był głównym detektywem. Udało mu się zlokalizować miejsce przechowywania nowych maszyn.

- W jaki sposób?

- Och... - Juice trochę się zawstydził. - Lepiej nie mówić. Nie wszystkie metody są zgodne z...

- Nie musisz wiedzieć - zdecydował Luc. - Przetransportowaliśmy cały sprzęt w nowe miejsce.

- Czekaaj, czekaaj. Ukradliście mu maszyny?

- Technicznie rzecz biorąc, wszystko jest własnością twojej firmy, gdyż Connie korzystał z jej funduszy. Masz prawo robić z tym sprzętem, co ci się podoba, a ja zdecydowałem, że chcesz zachować nad nim kontrolę.

- Czy to go powstrzyma przed rozwinięciem konkurencyjnej działalności?

- Mam nadzieję.

- Trzeba pozbyć się Conwaya w trybie natychmiastowym i od razu uspokoić klientów, że nowa właścicielka ma pełną kontrolę nad sytuacją. Co o tym sądzisz? -  
Podala Lucowi oświadczenie dla prasy.

- To mu się nie spodoba. - Uśmiechnął się złowrogo. - Szczególnie ten fragment, że został pozbawiony funkcji prezesa z powodu „permanentnego naruszania najwyższych norm jakości, które są priorytetem wnuczki Daniela Billingsa, od dziś nowej pani prezes firmy Billings”. Zrobiłaś tylko jeden błąd. - Oddał jej notatkę, wskazując palcem na podpis.

- Gdzie? Jaki?

- Twoje nazwisko. Podpisałaś się Téa de Luca. Od wczoraj nosisz nazwisko Dante.

- Głuptas ze mnie. Zaraz poprawię - obiecała.

Rozczulił ją tym do łez.

Luc pokiwał głową z zadowoleniem. Wtedy zadzwonił jego telefon. Odszedł na bok, by rozmawiać spokojnie.

- Witaj, Sandford. Czego się dowiedziałeś? - Zajęta poprawką Téa słyszała tylko strzępy rozmowy. Jednak po chwili Luc wrócił, a jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Idziemy - oznajmił groźnym tonem. - Najwyższy czas wykopać kuzyna Conwaya na zbity pysk.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Connie nie zamierzał poddać się bez walki. Gdy Téa wkroczyła do jego gabinetu bez pukania, w asyście swojej gwardii przybocznej, poczerwieniał ze złości.

- Jak śmiesz tak się szarogęścić, Téó! - wrzasnął.

- Miesiąc to niezbyt długo, ale na razie to jest mój gabinet.

- Mylisz się, Connie. Od dzisiaj jest tu moje biuro. - Wzięła się pod boki. - I nie nazywaj mnie Téą. Możesz mi mówić pani Dante.

- Co? Kiedy? - Connie łapał powietrze niczym ryba wyjęta z wody.

- Wczoraj Luc i ja wzięliśmy ślub - potwierdziła.

- Wczoraj? Miałaś być w podróży służbowej i poznawać klientów. Jakim cudem chcesz się nauczyć zarządzania firmą...

- To już nie twoja sprawa - odparła lodowato. - Zwalniam cię.

- Nie masz prawa. Odziedziczysz firmę dopiero za miesiąc.

- Przeczytaj uważnie testament, Connie. Zwłaszcza klauzulę o tym, że natychmiast po zamążpójściu staję się właścicielką Billingsa. Właśnie egzekwuję moje prawo.

- Daj spokój, Téó... - zerknął na Luca i poprawił się - pani Dante. Nie jesteś gotowa do zarządzania firmą.

- Czas pokaże. Dla ciebie nie ma już miejsca w Blingu. Ochroniarze czekają. Odprowadzą cię do wyjścia.

- Dlaczego mnie tak traktujesz? - syknął. - Wiem, mąż cię napuścił.

- Nie, Connie. Sam to na siebie ściągnąłeś. Myślałeś, że się nie dowiem?

- O czym?

- Nowe maszyny. Nowa firma. Billings Prime, czy nie tak chcesz ją nazwać?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Przestań. Wiem o wszystkim. O sprzedaży niepełnowartościowego towaru. Planach przejęcia klientów. Sprzęcie, który na koszt Blinga kupiłeś dla siebie i który zamierzałeś odkupić dla Billings Prime za psie pieniądze.

- A jeśli nawet, to co mi zrobisz? - wrzasnął. - To powinna być moja firma. Całe życie pracowałem na jej sukces. Ty nawet nie nazywasz się Billings. Zostałaś adoptowana. Powinnaś wtedy stracić wszystkie prawa do dziedziczenia.

- Firma była własnością dziadka i to on podjął decyzję, komu ją zostawia. Widocznie w porę się zorientował, jakim jesteś człowiekiem.

Conway wyprostował się na całą swoją mizerną wysokość.

- Już za późno. Cały sprzęt jest mój. Zamierzałem wystartować za miesiąc, ale przyspieszę ten proces.

- Mylisz się. Dziś rano anulowałam umowę między spółkami Billings i Billings Prime na sprzedaż maszyn i skonfiskowałam cały sprzęt. Masz tylko nazwę. Ani produkcji, ani towaru, a kiedy ukaże się oświadczenie dla prasy, twoja reputacja również będzie niewiele warta.

- Zapłacicie mi za to! Pozwę was. - Conway krztusił się ze złości.

- Nie sądzę - odparła chłodno Téa. - Kiedy wszystkie fakty wyjdą na jaw, wylądujesz w więzieniu.

- A jeśli nawet litościwy sędzia wypuści cię za kaucją - huknął Luc - trafisz za kratki za usiłowanie morderstwa. Uszkodziłeś hamulce w samochodzie Téi, po czym wysłałeś ją w niebezpieczną drogę do Los Angeles. Nie wątpię, że miała to być podróż w jedną stronę.

Zszokowana Téa gwałtownie odwróciła się do męża.

- Dzwonił oficer Sandford - wyjaśnił. - Ktoś zmieszał płyn hamulcowy z olejem do skrzyni biegów. Efekt jest powolniejszy niż przecięcie przewodów, ale równie skuteczny. Miałaś dotrzeć do najbardziej zdradzieckich fragmentów planowanej trasy i na jakimś zakręcie stoczyć się do oceanu. Niewiele brakowało.

- Gdybym to ja siedziała za kierownicą, pewnie by mnie tu nie było - powiedziała zbielełymi wargami.

Odwróciła się do kuzyna. Próbował coś mówić, zapewne wypierał się wszystkiego, ale nie dotarło do niej ani jedno słowo. Widziała tylko potwierdzenie wszystkich zarzutów w jego beczelnym spojrzeniu.

- Wynocha - rozkazała, opanowując się, by nie rzucić się na niego z pięściami. - I jeszcze jedno. Jeśli mi się coś stanie, firmę odziedziczą moje siostry. Luc przekaże prokuraturze informacje na twój temat. Lepiej poszukaj dobrego adwokata.

- A jeszcze lepiej schowaj się w jakiejś mysiej dziurze. Jeśli zobaczę cię w pobliżu mojej żony, rozerwę cię na strzępy gołymi rękami - obiecał Conwayowi Luc.

Gdy Juice z towarzystwem strażników wyprowadził Conwaya z budynku, Téa opadła na jego - teraz już swój - prezesowski fotel. Miała nadzieję, że kuzyn na zawsze zniknie z jej życia.

- Gratulacje. Teraz ty jesteś tu szefową.

- Dzięki tobie, Luc.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Podeszedł do okna i chwilę stał zamyślony. Potem stwierdził: - Zadanie wykonane. - Miała poczucie, że jej protesty i prośby nie zrobią na nim wrażenia. Jego wyrok nie podlega apelacji. - Poradzisz sobie?

- Oczywiście - zapewniła, choć miała ochotę błagać, by został i dał szansę ich miłości. - Dziękuję ci za pomoc.

Po wyjściu Luca siedziała nieruchomo za biurkiem, otepiała. W jednej chwili dostała od niego wszystko, do czego tak długo dążyła. Nigdy nie będzie w stanie mu się za to odwdzięczyć.

Podjeżdżając jej kuzyna o podłe intencje, zadał sobie trud, by zdemaskować jego plany i zapobiec im. Dzięki wielkodusznej zgodzie na małżeństwo umożliwił jej przejęcie firmy, zanim została zrujnowana. Teraz spokojnie patrzyła w przyszłość, bo uda jej się podźwignąć Billingsa do dawnej świetności i zabezpieczyć rodzinę do końca życia. Straciła jednak coś najważniejszego.

Właściwie kogoś. Luca.

Usta jej zadrżały. Oczywiście, nigdy nie należał do niej. A ona go kocha, sercem i duszą, bezwarunkowo i bezgranicznie. A ponieważ jej miłość jest tak mocna, podaruje mu wolność. Znając odpowiedzialność Luca, to wcale nie będzie proste. Musi znaleźć sposób, by uwolnić go, a jednocześnie ocalić jego dobre imię w oczach rodziny.



Miała już pomysł, jak to zrobić, jak wziąć na siebie winę i wyrzec się męża niezależnie od cierpienia, które się z tym wiąże. Żałowała tylko, że nie może mu podarować czegoś szczególnego, co mu udowodni, jak go wysoko ceni.

- Gdzie jest Luc? - Juice zajrzał do gabinetu, spodziewając się, że znajdzie tu przyjaciela.

- Już poszedł. - Nagły pomysł przyszedł jej do głowy. Jest sposób na wyrównanie rachunku. - Poczekaj, Juice. Chcę cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

- Jasne. Powiedz tylko, o co chodzi.

- Chciałabym, abyś kogoś dla mnie odnalazł.

Luc spojrział na zegarek i skrzywił się. Jest spóźniony na spotkanie z Téą. Spóźnienie wprawdzie niewielkie, ale zawsze przywiązywał wagę do punktualności. Może to podświadomy sposób na odwlekanie nieuchronnego. Podejrzewał, że go zaprosiła, by omówić warunki rozstania. Czy nie jest tak, że powinien z wdzięcznością przyjąć jej inicjatywę? Tyle razy deklarował, że jest wrogiem małżeństwa. Tymczasem właśnie on stara się opóźnić nieunikniony koniec. Skąd się to bierze?

Pamiętał słowa, które wyszeptała do niego w ich noc poślubną. Zapadły mu prosto w serce, choć ona dawno już o nich zapomniała. Powiedziała, że go kocha. Wciąż brzmiały mu w uszach. Wiązały go z Téą na dobre i złe.

- Nazywam się Luc Dante - warknął do kierownika sali. - Jestem tu umówiony.

- Tak jest, panie Dante. Ta pani już czeka. - Kelner zaprowadził go do stolika, przy którym siedziała obca kobieta, po czym zniknął, zanim Luc zdążył zaprotestować, że zaszła pomyłka.

- Przepraszam panią - usprawiedliwił się. - Jestem tu umówiony z żoną, ale kelner chyba pomylił stoliki.

- Nie poznaje mnie pan, prawda? - Kobieta z uśmiechem uniosła głowę. - Czy to odświeży pańską pamięć, jeśli powiem, że pięć lat temu ocalił mi pan życie?

Luc przyjrzał się jej uważniej. Było coś znajomego w tej twarzy. I nagle go olśniło. Wypadek. Dwie ofiary, mężczyzna i dziecko. Zdesperowana żona i matka.

- Sonya Jorgen?!

Téa spojrziała na zegarek, przygryzając wargi. W tej chwili Luc i Sonya są pogrążeni w rozmowie, chyba że Luc wyszedł, zirytowany jej intrygą. Wielka niewiadoma. Jednak do tej pory nie zadzwonił z awanturą. To chyba dobry znak. Miała nadzieję, że zaaranżowane naprędce spotkanie przyniesie pozytywny efekt. Jeśli zmaże jego poczucie winy, uwolni go od wyrzutów sumienia, to spełniony został pierwszy dobry uczynek na pożegnanie. To miało być jej podziękowanie za to, co dla niej zrobił.

Teraz pora na kolejne zadanie. Obiecała sobie bowiem, że przed rozwodem zadba o to, by życie Luca potoczyło się przeznaczonym trybem. On nigdy nie zatroszczy się o siebie, dopóki nie będzie pewien, że osoby, za które czuje się odpowiedzialny, są bezpieczne i szczęśliwe.

Weszła do domu, który dzieliła z Madam i siostrami. Wybrała taką porę dnia, gdy wszystkie będą w domu. Znalazła je w kuchni, zajęte przygotowaniami do posiłku. Na jej widok otoczyły ją, witając hałaśliwie.

- Co na kolację? - spytała. - Umieram z głodu.

- Co tu robisz? - dociekała Madam. - A gdzie Luc?

- Był umówiony dziś po południu. Postanowiłam spędzić trochę czasu z wami.

Musimy pogadać.

- Już nie Jorgen, a Thompson - wyjaśniła Sonya.

- Wyszła pani za mąż?

Uśmiechnęła się i wskazała mu miejsce naprzeciw siebie. Przyglądała mu się z ciekawością.

- Minęło pięć lat, a pan nie zmienił się ani odrobinę. Nadal ma pan najsmutniejsze oczy, jakie widziałam. Czy pan wie, że to była pierwsza rzecz, którą w panu zauważyłam?

- Pani za to przeszła metamorfozę - stwierdził. - Wygląda pani na szczęśliwą.

- I to bardzo. - Rozłożyła serwetkę i położyła ją sobie na kolanach.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na jej brzuch.

- Wielki Boże! Jest pani...

- W ciąży? Tak, spodziewamy się dziecka.

- O co chodzi, Téó? - zaniepokoiła się Madam.

- Pokłóciłaś się z mężem?

- Wkrótce się rozwiedziemy. - Uciszyła gwałtowne protesty. - Dosyć, proszę.

Kobiece głosy umilkły jak nożem uciął.

- Nie zamierzam się tłumaczyć ani odpowiadać na wasze pytania w tej sprawie. Powiem tylko, że ten związek nie spełniał naszych oczekiwań. W konsekwencji zdecydowałam się na pewne zmiany. - Skierowała wzrok na Juliann. - Byłam beznadziejną pomocnicą w weselnych przygotowaniach, Jules, i bardzo cię za to przepraszam.

- Nie mów tak. Jesteś dla siebie niesprawiedliwa - broniła jej siostra.

Téa sięgnęła do torebki, wyjęła lśniąca czarną komórkę w różowe odbłaskowe całuski i położyła ją na stole.

- Jestem ci wdzięczna, że włączyłaś mnie w przygotowania do ślubu, ale myślę, że największą przyjemność sprawi mi po prostu bycie przy tobie w tym szczególnym dniu.

- Mnie też najbardziej na tym zależy - wyznała Juliann. - Zawsze starałaś się zastąpić mamę, więc myślałam, że poczułabyś się urażona, gdybym nie konsultowała z tobą wszystkich decyzji.

- I dlatego przydzieliłaś mi tradycyjne zadanie każdej matki. Rozumiem i bardzo ci dziękuję. Ja jednak nie chcę dłużej być twoją matką, ale uwielbiam być twoją siostrą.

Z jakiegoś powodu wszystkie się wzruszyły i nastąpiło ogólne ściskanie i ocieranie oczu.

- Teraz moja kolej? - odgadła Davida.

- Tak. - Téa odepchnęła od siebie telefon trochę dalej. - Sama zdecyduj, czy chcesz skończyć studia. Nie będę na ciebie naciskała, ale też nie zamierzam bronić cię przed wykładowcami.

- Nie musisz - oznajmiła Davida. - Jeden z profesorów przeprowadził ze mną długą i szczerą rozmowę. Powiedział, że czas się zastanowić, co chcę robić. I ja już wiem. Chcę projektować biżuterię. Luc skontaktował mnie z żoną Seva, Francescą. Obiecała mnie wziąć pod swoje skrzydła i skierować na właściwe kursy.

- Luc cię skontaktował...?

- Żałuję, że się rozwodzicie. Jest miły. Lubię go.  
- Teraz ja, teraz ja! - Katrina nie mogła się doczekać swojej kolejki.  
- Nie mogę obiecać, że nigdy i nigdzie nie będę się wtrącać - ostrzegła Téa, odsuwając od siebie telefon jeszcze dalej. - Jednak nie zamierzam zdalnie sterować waszym życiem. Zacznę do rezygnacji z tego numeru.

- W porządku. O mnie nie musisz się martwić. Wstąpię do wojska albo zostanę policjantką - oznajmiła Katrina.

- Żartujesz - wykrztusiła Téa.

- Poznałam wielu sensownych policjantów - wyjaśniła Katrina. - Podczas prac społecznych na rzecz społeczności lokalnych - dodała. - Czuję, że moim powołaniem jest praca w policji. - Spojrzała na nie triumfalnie, unosząc brew z kolczykiem. - Skończyliśmy?

- Jeszcze ja - zauważyła Madam, nawet teraz dzielnie trzymająca emocje na wodzy. - Mnie także możesz oddać telefon, jeśli chcesz.

- Nigdy w życiu. Dla ciebie jestem dostępna zawsze i wszędzie. - Uściskała serdecznie babkę i spojrzała na dziewczyny. - Dla was też, ale jako starsza siostra, nie matka. - I w tym momencie ostatecznie przestała się obwiniać o śmierć rodziców.

Godzina w towarzystwie Sonyi minęła na nadszpiewanie miłej rozmowie.

- Rozumiem, że Téa zaaranżowała nasze spotkanie?

- Pana żona jest czarującą osobą. Odnalazła mnie i wyjaśniła, jak silne wrażenie wywarła na panu moja tragedia. Przepraszam, Luc. Wiele bym dała, żeby cofnąć wszystkie te okropne rzeczy, które panu powiedziałam. Proszę zrozumieć, szalałam z rozpaczy.

- Nigdy nie miałem do pani pretensji.

- Mam też osobisty powód do spotkania z panem. Chciałam wreszcie panu podziękować.

- Podziękować? - Tego się najmniej spodziewał.

- Przez długi czas byłam na pana wściekła. Chciałam umrzeć, a pan mnie uratował. Próbowałam nawet popełnić samobójstwo. Wiedział pan o tym? - Potaknął w milczeniu.

- Tak podejrzewałam. Ale w pewnym momencie odkryłam, że chcę żyć. Trzeba było długiej terapii, abym zrozumiała, że odcinając się od emocji, skazuję się na ponurą egzystencję. Otworzyłam się na życie i znalazłam miłość. Mogę nawet powiedzieć, że znalazłam swoją drugą połówkę.

- Myślałem, że był nią Kurt.

- Ja też. Ale teraz sędzę, że w pierwszym małżeństwie najważniejszy był fakt, że tworzymy rodzinę. Kochałam - tu głos jej się załamał - mojego synka. Wciąż za nim tęsknię. Nigdy nie pozna swojego rodzeństwa, ale dopilnuję, żeby jego brat czy siostra znali go z moich opowiadań.

- Cieszę się, że znalazła pani siłę, aby żyć dalej. I że znowu znalazła pani miłość - odparł Luc.

- Pan też - rzekła z naciskiem, nachylając się ku niemu. - Może pozwalam sobie na wścibstwo, ale proszę nie popełniać pomyłki, której ja cudem uniknęłam. Proszę nie odwracać się od życia. Czasem trzeba zaryzykować i postawić wszystko na jedną kartę, inaczej szczęście przejdzie bokiem. Od czasu do czasu fortuna się od nas odwraca, ale miłość pomaga wszystko przetrzymać.

Luc siedział w samochodzie, zbierając myśli. Sonya miała rację w wielu sprawach. Odwrócił się od życia. A przecież ma wybór. Może kontynuować swą pustą egzystencję z czasu przed Tęą lub zaryzykować i otworzyć serce na miłość. Pomyślał o swoich dziadkach i blisko sześćdziesięciu latach czułości i oddania, śmiechu i łez. Tak samo wygląda małżeństwo jego rodziców i kuzynów. Czy odrzuciliby miłość, by się uchronić przed cierpieniem? Odpowiedź nasuwała się sama.

Jakie będzie jego życie bez Téi? Bez jej ciepła i szlachetności, bez poczucia humoru i zmysłowości. Przypomnił sobie wyznanie wymruczane mu do ucha w noc poślubną i poczuł, że twarda skorupa pęka i pozwala sercu bić mocniej.

To gra o wszystko. Albo kocha Tęę i chce spędzić z nią resztę życia, albo ją straci. Ktoś inny da jej wszystko, czego on jej odmówił. Po moim trupie, pomyślał z nagłą złością na samego siebie. Jest kretynem. Pozwolił, by szczęście wymknęło mu się z rąk. A dlaczego? Bo był tchórzem. Jeszcze nie jest za późno. Zawsze zdobywał to, czego pragnął. A najbardziej na świecie pragnie Téi.

W obecnym stanie ducha nie odebrałby telefonu, gdyby nie był od Nonny.

- Twoja żona jest u nas. Przyjeżdżaj - ponagliła go.

- Właśnie tłumaczy Primowi, że wasze małżeństwo było pomyłką. Wspomniała o rozwodzie.

- Nonna, ratuj. Napójdzie ją domowym piwem i grajcie na zwłokę. Jestem w drodze.

Drugi telefon był do Seva.

- Musimy się natychmiast spotkać. Co? O, do licha. W takim razie spotkajmy się po drodze do szpitala. Tak, to pilne. To sprawa życia i... miłości.

- I tak się sprawy mają. Rozumiecie mnie, prawda? - Téa poczuła, że język jej się płacze, a dziadkowie Luca nadal kręcili głowami.

- Może gdybyś nam to wyłożyła od początku... - zasugerował Primo.

- Chyba tracę wątek - przyznała.

- W takim razie dla odmiany porozmawiajmy o innych sprawach. Lubisz niemowlęta? Ty i Luc będziecie mieli śliczne dzieciaki. Rudowłose diablątka.

- Ale ja właśnie tłumaczyłam, że nie będzie żadnych dzieci - chlipnęła Téa.

- Tam, gdzie Dante jest mężem, zawsze są dzieci, mam rację, Luciano? - Primo skierował wzrok gdzieś za nią.

- Absolutnie, dziadku.

Téa omal nie spadła z krzesła na dźwięk głosu męża.

- Jesteś pijana, kochana żono. A ja chciałem, żebyś dobrze zapamiętała dzisiejszą noc. Nonna, pomóż. Potrzeba nam dużo kawy. I przy okazji zadzwoń do Seva. Francesca właśnie zaczęła rodzić.

Wiosenne powietrze podziałało jak zimny okład. Gwiazdy nad ich głowami skrzyły się jak najpiękniejsze diamenty. Téa uświadomiła sobie, że jakimś cudem znalazła się tam, gdzie chciała być najbardziej: w ramionach Luca.

- Jesteś snem czy jawą? - spytała rozmarzonym głosem. Pocałował ją w odpowiedzi. - Jak miło. Możemy udawać, że nadal jesteśmy małżeństwem i mieć kolejną noc poślubną.

- Nie musimy udawać. Nadal jesteśmy małżeństwem.
- Już niedługo.
- Przynajmniej pięćdziesiąt lat, a pewnie więcej.
- Ale poważnie, co tu robisz? - zapytała.
- Chciałem ci podziękować za spotkanie z Sonyą.
- Bałam się, że będziesz na mnie zły - przyznała. - Juice ją dla mnie zlokalizował.

Jak poszło?

- Wyszła drugi raz za męża, co pewnie wiesz, i jest w ciąży. Jest ekstatycznie szczęśliwa.

- W ciąży? Czekaj, czy powiedziałaś przed chwilą, że Francesca rodzi, czy się przesłyszałam?

- Zatrzymałem ich w drodze do szpitala. Sev się opierał, ale musiałem ci to dzisiaj dać.

Podał jej małe pudełeczko z otwartym wieczkiem. W środku był pierścionek - istne arcydzieło sztuki jubilerskiej - w oprawie ze złota najwyższej próby wspinały brylant łączący dwa serca.

- Kocham cię, Téo. Chcę prawdziwego małżeństwa. Jednego i do końca życia.

- Nie rozumiem - wyszeptała. - Przecież nie chciałeś stałego związku.

- Pomyliłem się. Nie potrafię żyć bez ciebie. - Mówił z namysłem, jakby trudno mu było znaleźć słowa. - Nie mogę obiecać, że będę ideałem. Przez wiele lat trzymałem ludzi na dystans. Ale z tobą... Będę się starał.

- Och, Luc. A ja przyszłam zwrócić ci wolność. Starałam się wszystko wyjaśnić twoim dziadkom, ale chyba mnie nie słuchali.

- Bo wiedzą, że Piekło nas połączyło.

- Kocham cię - wyznała.

- I ja cię kocham, Téo. Bez ciebie moje życie byłoby puste. - Wsunął jej pierścionek na palec. - To zupełnie nowy projekt. Ma swoją nazwę i ze względu na nią go wybrałem. - Gdy nie mogła odgadnąć, pospieszył z podpowiedzią. - Nazywa się Piekło Dantego, oczywiście.

# EPILOG

Nonna i Madam stuknęły się kieliszkami.

- Udało nam się, prawda? - uśmiechnęła się z zawstydzaniem Madam.

Nonna z satysfakcją obserwowała Luca i Tée.

- Możemy sobie pogratulować. Oczywiście, twoją zasługą było sfinalizowanie drugiego etapu, co pozwoliło Primowi wymusić na nich realizację etapu trzeciego. Teraz zostaje nam etap czwarty.

- To znaczy? - Madam nie zrozumiała aluzji.

- Oczywiście, dzieci. Więcej rozkosznych malców przedłużających trwanie klanu Dantów. W ich wypadku to będą chłopcy.

Z kuchennego okna w domu dziadków Rafe Dante obserwował brata i bratową. Wszyscy zgromadzili się w ogrodzie, składali gratulacje młodej parze i, jak zwykle, napełniali go radosną wrzawą i śmiechem. Po raz pierwszy pojawili się też nowi członkowie rodziny, niemowlęta w ramionach Franceski i Kiley. Chłopcy, oczywiście. Młode matki porównywały wszystko, od świeżych jeszcze doświadczeń z porodu, przez dzienny grafik karmień, po paluszki osesków.

Rafe myślał, że pęknie ze śmiechu, gdy dostrzegł, że Luc nie tylko bierze udział w tych pogawędkach, ale i sprawia wrażenie zainteresowanego. Cóż, najnowsza ofiara Piekła. A nie tak dawno gotów był się założyć, że z całej rodziny on i brat unikną tej zarazy.

Z jakiegoś powodu poczuł się nagle opuszczony przez wszystkich. Nie pójdzie w ich ślady. Po doświadczeniach z Leigh nie pokocha już żadnej kobiety.

Luc dołączył do niego i chętnie przyjął podaną mu szklankę whisky.

- Właśnie się dowiedziałem, że możemy wznowić działalność.

- Dziś dostaliśmy oficjalną decyzję - potwierdził Rafe. - W poniedziałek rano Dantes Courier Service pracuje normalnie. Będiesz?

- Nic mnie nie powstrzyma - potwierdził brat.



- Gratuluję, stary. Téa jest piękną kobietą - powiedział szczerze. - Szczęściarz z ciebie. - Okej, może w tym momencie lekko się zawahał.

- A ty wciąż zaliczasz się do niedowiarków?

- Bardziej niż kiedykolwiek.

- Wszystko przez Leigh. - Luc oparł się o kuchenny blat. - Powiedz mi jedno. Czy wierzyłeś w Piekło, gdy zakochałeś się w niej? Kiedy się z nią ożeniłeś?

- Dlaczego pytasz?

- Czekał, czekał. - Potarł dłoń. - Nie czułeś tego?

- Nie bądź idiotą. Oczywiście, że nie.

- Ty i Leigh nie doświadczyliście Piekła?

- Jesteś takim samym wariatem jak reszta rodziny. Nie rozumiesz? Nie ma żadnego Piekła!

Luc tylko się uśmiechnął.

- Nie szczerz się głupio, jakbyś pozjadał wszystkie rozumy. - Rafe dał upust irytacji. - Najzwyczajniej w świecie zakochałeś się. Ale nie, żaden Dante nie może reagować jak normalny facet. Wraz z resztą krewnych jesteś ofiarą rodzinnej mitologii. Żaden z was nie przyzna się, że stracił głowę, uległ pożądaniu, zadurzył się; wszyscy gadacie o Piekle i przeznaczeniu. Puknij się w głowę, bracie. To kompletny absurd. Logicznie myślący człowiek nie powinien wierzyć w bajki. Piekła nie ma.

- Racjonalista po prostu zignoruje to swędzenie, bo mu ono nie pasuje do teorii - zakpił Luc.

- Nie będę komentował, co cię zaswędziało. W moim słowniku to się nazywa chuć. Chcesz o tym pogadać? - Wypił whisky do dna. - Mnie też swego czasu rzuciło się na mózg, wyszalałem się, sprawa zamknięta.

- Gadaj zdrów, Rafe. Powtarzaj sobie, że jesteś odporny. Ja jednak chcę cię ostrzec. Najwyraźniej Leigh nie była kobietą dla ciebie.

- Wielkie mi odkrycie.

- Nie o to chodzi. Jeśli Leigh była pomyłką, to twoja narzeczona z Piekła rodem wciąż na ciebie czeka. Przekonasz się, gdy ją spotkasz. A wtedy pogadamy, przystojniaku, o Piekle i swędzeniu. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.